Nr. 117. Lwów — Wtorek dnia 23 Maja. Rok 1905.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego. [illegible]

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

[illegible]
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 6 h.

Dziś: św. Dezyderyusza, Szymona Zel. Jutro: św. Joanny Wd., Mocyusza | Adres Redakcyi i Administracyi: **Lwów, ul. Sykstuska l. 45.** | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | **Rękopisów** Redakcya nie zwraca. | Wschód słońca o godz. 4 m. 19, Zachód „ 7 m. 35 | Długość dnia godzin 15 min. 16, Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Lekcya polityki.

Dwa lata temu większość Polaków na Szląsku pruskim, opanowana przez radykalną agitacyę wszechpolaków, zerwała wszelkie stosunki z katolickiem centrum. Każdy przeciwnik tego rozbratu był nazywany zdrajcą przez krzykliwych warchołów. Z komitetu polskiego usunięto wszystkich dawnych, zasłużonych pracowników na niwie narodowej za to jedynie, że nie chcieli na rozkaz radykałów uważać katolików niemieckich za wrogów. Zwalczano kandydatury tych Polaków, którzy przemawiali za utrzymaniem przymierza z centrum, rozdwojono w ten sposób obóz polski, stracono pewne mandaty na rzecz liberałów i junkrów, ale pocieszano się tem, że zaszkodzono przecież centrum. Mówiono, że uświadomienie narodowe warte takiej ofiary, a umyślnie zapominano, że uświadomienie dawno już było i stało się za sprawą właśnie tego polskiego stronnictwa, tych polskich pracowników, których wszechpolacy wyklęli. Pod hasłem „precz z centrum!“ toczyła się walka namiętna, zawzięta, z której powstało morze nienawiści i morze płytkich myśli. Xięża parafialni byli najbliższymi opiekunami swych polskich parafian i bronili ich od wyzysku protestanckich zarządów fabrycznych i kopalnianych, ale że jednocześnie należeli do katolickiego centrum, bo też inaczej być nie mogło, przeto krzyknięto także: „precz z xiężmi!“ Dziennik polski *Katolik*, stary, wytrawny bojownik o polskość na Szląsku, niemal jej twórca, przestrzegał przed tą niedorzeczną walką, wskazywał jej szkodliwość, cyframi udowadniał, że siły polskie są jeszcze słabe, więc ogłoszono z radykalnego trójnoga, że *Katolik*— zdrajca, zaprzedał lud polski centrowcom, a zdrajcą też będzie, kto nie porzuci tego pisma dla nowego dziennika *Górnoszląsaka*, założonego przez wszechpolaków. Chwiejna jest zawsze nasza opinia, więc rzeczywiście podcięto byt materyalny *Katolika*, który już się był stał narodową instytucyą na Szląsku, a nie poprawiono przez to materyalnego bytu nowych wszechpolskich dzienników, bo ponieważ w tej walce każdy warchoł nie zapominał o własnej pieczeni, przeto pojawiło się kilka pism wszechpolskich. Stara gwardya narodowa nigdy nie ganiła tego nowego kierunku politycznego za jego polskość, jeno za to, że on się nie liczył z rzeczywistością, że nie opierał się na tem, co istotnie jest, lecz tylko na tem, co się gorącym sercom zdawało, że jest, — i za to jeszcze, że nie przewidywał przyszłości tak jasnej jak dzień. Lecz zwyciężyło — jak, niestety, bardzo często u nas — złudzenie. Na ruinie wypróbowanej organizacyi zatknięto chorągiew wszechpolską, centrum odpędzono precz — i ono poszło sobie.

Tego tylko czekała hakata rządowa i półurzędowa. Potężne centrum już nie stało na straży spokoju i prawnego porządku na Szląsku. Zaczął się tedy powszechny atak na polskość, a skutki jego odczuł każdy chłop, każdy robotnik. Kary policyjne i procesy sypią się jak z puszki Pandory, niepodobna swobodnie odbyć żadnej narady, w skutek ciągłych rewizyj upadają czytelnie, zakwestyonowano jedyne wszechpolskie powodzenie, mandat p. Korfantego, poczęto z kopalń wydalać górników za choćby jedno polskie słowo, rozwinął się w całej pełni teroryzm jak w Poznańskiem, tylko o tyle groźniejszy, o ile na Szląsku polskość słabsza i uboższa, aniżeli w Poznańskiem. Wreszcie postanowiono zastąpić w fabrykach i kopalniach Polaków z Galicyi Rusinami i już wydalono czterystu tych biedaków, jako uciążliwych cudzoziemców.

Po takich razach ocknęła się opinia — i oto te same wszechpolskie dzienniki: *Górnoszląsak*, *Polak*, *Głos Szląski* jęły dowodzić, że porozumienie z katolickiem centrum jest potrzebne, nawet „nieodbicie konieczne“ — woła *Głos Szląski*, a galicyjskie organa wszechpolskości łaskawie dodają, że „zbliżenie się polskiego obozu narodowego do centrowców mogłoby nie być bez pożytku“. Wprawdzie zrobiono tu takie ustępstwo dla „polskich“ centrowców, ale przecież takich polityków wcale dotąd nie uznawano, zaliczano ich po prostu do Niemców i do wrogów naszego narodu, a nazywano zdrajcami.

Teraz do tych zdrajców wyciągają wszechpolacy dłonie. Łatwo podają ręce! Łatwo zmieniają swe polityczne zdania! A jacyż to zdumiewający krótkowidze! Nie przewidzieć tego, co się musi stać bezpośrednio, to w polityce niemal bezprzykładna ślepota. Nie usłuchać przestróg o niebezpieczeństwie tuż, to tylko fanfaroństwo. Po dwóch latach już zatrąbić do odwrotu, to godne surowego potępienia lekceważenie losów narodu, któremu nie wolno robić żadnych omyłek.

Lecz wszystko można przeboleć, zapomnieć, darować, jeżeli szkoda będzie naprawiona i katolickie centrum znowu pójdzie obok nas. Ale czy pójdzie? O tem można wątpić. Przecież i ono ma swe narodowe interesa: jest wszakże niemieckiem. I ono może zasmakować w rządowych uprzejmościach: wszakże składa się z ludzi, z polityków, a nie idealistów. Zacni są, to prawda, ale ostatecznie cóż ich Polacy tak bardzo obchodzą, żeby odtrąceni przez nich, jeszcze za nich łby sobie rozbijali. Znamienne to, że katolicko-niemieckie dzienniki, omawiając ten polski zwrot na Szląsku, sucho dodają: „Polakom wierzyć nie można“. Nie gniewają się na nich, nie tryumfują, nie żartują nawet z fanfaroństwa, które trwało zaledwie dwa lata, tylko mówią zimno, jako o czemś, co już ich nic nie obchodzi.

Po roku 63-cim szedł naród wszędzie, na ogół biorąc, dobrze — czem dalej, tem lepiej, pewniej, mierząc zamiary według sił, bo tak powinno być w polityce, która nie jest poezyą, ani deklamacyą. Lecz w końcu stara mumia tromtadracyi ocknęła się, uszyła sobie nowy strój, zwany wszechpolskim, i poczęła trybularzami okadzać stare nasze nałogi. Ile jej winy w tem, co w ciągu kilku ostatnich miesięcy stało się w Królestwie Polskiem? — któż dziś potrafi powiedzieć! Ale choć wyparła się tych w Królestwie wypadków i potępiła je, wina jej przecież być musi, bo wszakże długo jątrzyła. Wypiera się teraz na Szląsku swojej z przed dwóch laty roboty, ale któż nie powie, że to była właśnie jej robota i jej wina, że jest teraz to, co jest!

Dynamitardzi w Warszawie.

Z telegramów już wiadomo, że w piątek w południe rzucono przy ulicy Miodowej w Warszawie bombę, napełnioną materyałem znać bez porównania silniejszym od dynamitu, bo skutki jej wybuchu były przerażające, a sięgały bardzo daleko. Zarysowały się i popękały mury wszystkich okolicznych domów, niektóre z nich trzeba będzie zupełnie zburzyć, bo od piwnic do dachu są zrujnowane; wyleciały okna w kamienicach nawet dość odległych, huk wybuchu słyszano w całej Warszawie, nawet za Wisłą, na Pradze. Sąsiednie sklepy: obrazów Sommera, droguerya Pika, cukiernia Trojanowskiego i obok niej skład win, przedstawiają jedno rumowisko. Bruk wyrwany, słupy latarniane obalone, szyldy porwane na kawałki pokryły ulicę. Ze skrwawionego bruku podniesiono trzy osoby zabite i formalnie rozdarte, a 24 osób śmiertelnie skaleczonych. Z tych ofiar zwierzęcej zbrodni jedna tylko była winna, ta, która rzuciła bombę. Ten anarchiczny zamach był więc znacznie bestyalniejszy od bardzo podobnego doń zamachu, dokonanego przed kilku laty w paryskiej kawiarni Terminusa.

Ten paryski wypadek stawiamy tuż obok warszawskiego, który według zebranych dokładnych wiadomości odbył się inaczej, niż podano w depeszy, a mianowicie tak:

W piątek była rocznica urodzin cara. Dygnitaryat rosyjski miał się zebrać na nabożeństwo w prawosławnej cerkwi na zbiegu ulic Miodowej i Długiej. Musiał on przejeżdżać mimo cukierni Trojanowskiego. Już od kilku dni krążyły po mieście głuche wieści, że anarchiści przygotowują na tę chwilę jakiś zamach i że na jeneralnego gubernatora Maksymowicza wydali oni wyrok śmierci, chociaż zaiste on na to nie zasłużył nawet wobec tych piekielnych zbrodniarzy. Może z powodu tych pogłosek, a może — jak inni utrzymują — w skutek niedomagania, jenerał Maksymowicz wcale nie wychylił się z domu. Rzecz naturalna, że skoro były pogłoski o uplanowanym zamachu, to policya tajna rozstawiła swych ajentów wzdłuż wszystkich ulic, prowadzących do cerkwi.

Była godzina 11-ta. Do cukierni Trojanowskiego wszedł szczupły, średniego wzrostu człowiek, rudawy, z rudą krótką brodą, z oczami, biegającemi niespokojnie, ogromnie w ruchach nerwowy. Usiadł i zażądał kawy, ale jej nie pił, tylko wciąż się zrywał, zmieniał miejsce, zaglądał do okien. Po chwili spostrzegł, że go mają na oku jacyś dwaj ichmościowie, więc wstał, pośpiesznie wyszedł na werandę, rzucił się ku schodom na ulicę, ale wtedy tamci dwaj zatrzymali go. Nastąpiła między nimi krótka, cicha rozmowa, poczem rudy się szarpnął, chciał uciec, lecz z pod surduta wypadła mu bomba. Nastąpił wybuch, słup ognia uderzył do góry, wstał tuman kurzu i wszystko przesłonił, a potem ujrzano wszędzie rumowisko, kilkanaście osób na ulicy, drgających konwulsyjnie w kałużach krwi, w cukierni, zburzonej do szczętu, rannych, przywalonych odłamkami muru i mebli, a tuż przy werandzie trzy rozdarte trupy. Trup jeden — to owego rudawego człowieka, w którym policya poznała 25-cioletniego szewca Dobrowolskiego, dwa inne trupy należały do agentów tajnej policyi Lebediewa i Korotkija. Był jeszcze jeden tajny agent Antoniewicz. Stał on na ulicy przed cukiernią. Powietrze, wstrząśnięte wybuchem bomby, rzuciło go o mur przeciwległej kamienicy z taką siłą, że jest strasznie pomięty.

W ciągu miesiąca to już trzecią bombę rzucono w Warszawie, a wszystkie one były naładowane jakimś nadzwyczajnie silnym materyałem wybuchowym. Oczywiście, nie w szewskich warsztatach go preparują, nie rzemieślnicza czeladź napełnia bomby, a nie blacharze je robią. Jest widocznie w Warszawie fabryka tych piekielnych narzędzi, jest więc sprzysiężenie potworów w ludzkiem ciele, którzy w panicznym strachu trzymają całe miasto i od czasu do czasu wyrywają z jego mieszkańców ofiary swych dzikich instynktów, — nie czynowników rosyjskich, z którymi niby wojują, lecz Polaków, ludzi pracy, może podpory rodzin. Ale gdyby nawet wojowali tak naprawdę tylko z wrogami narodu, zawsze byliby jego nieszczęściem i wstydem, jego klęską moralną i materyalną.

Naturalnie, dobrze to czuje nasze społeczeństwo i z pewnością ubolewa, że władza państwowa jest do wszystkiego, co jest antipolskie, tylko nie do zapewnienia publicznego bezpieczeństwa. Ogół nasz sam musi się bronić. I dlatego-to xiądz Arcybiskup warszawski nakazał w kościołach kazać ludowi o barbarzyństwie wszelkich anarchicznych, nożowniczych i socyalistycznych czynów; zalecił duchowieństwu ostrzegać lud przed tymi terorystami. Dobrze zrobił, a że za to posypały się nań oskarżenia, iż w ten sposób pomaga czynownictwu, a rozdwaja nasze społeczeństwo, to jedynie dowód, że w tych niespokojnych czasach szerzy się coraz bardziej zgubne pomieszanie pojęć, bo zbrodnicze uczucia zajmują miejsce prawych.

Wojna rosyjsko-japońska.

Petersburg. Rozkaz dzienny cara do armii potwierdza wiadomość o wydaleniu ze służby kapitana Klado.

Tokio. Urzędownie donoszą: Rano 19 maja zaatakowały dwie rosyjskie kompanie i dwa szwadrony, przybyłe z Tajun Fakumen, miejscowość Tsiugtsu, zostały jednak o godzinie 1 w południe odparte. Równocześnie rosyjski pułk i 5 szwadronów zaatakowały Singjanczao; do wieczora zostały pobite. Położenie koło Czengtu, gdzie Rosyan ściśnięto na prawym brzegu rzeki Liao, nie zmieniło się od 18 maja i odbywają się tam tylko utarczki patroli. Kawalerya rosyjska, która skoncentrowała się w głównej sile koło Tungczaniong, o 8 mil na zachód od Fakumen, próbowała 19 b. m. przedpołudniem zagrozić naszemu obozowi z tyłu, obchodząc go od południowego zachodu, ale silne oddziały naszej straży onieśmieliły ją; cofnęła się, nie osiągnąwszy celu.

Korespondencye.

Wiedeń, 20 maja.

(Uchwała posłów niemieckich do Sejmu czeskiego w sprawie obstrukcyi. — Analogia między ich stanowiskiem a stanowiskiem Czechów w Radzie państwa. — Uwagi dra Herolda o sytuacyi politycznej).

(y). W uchwale, powziętej onegdaj przez zebranych w Pradze posłów niemieckich do Sejmu czeskiego co do dalszego ich zachowania się w czasie bieżącej sesyi sejmowej, tkwi aż nadto wyraźna ironia z polityki, jaką prowadzą młodoczesi w Radzie państwa. Jak bowiem młodoczesi w Radzie państwa po ustąpieniu dra Koerbera zaprzestali obstrukcyi, zastrzegając się przytem solennie, że to ich do niczego nie obowiązuje i że każdej chwili, kiedy tylko uznają to za stosowne, podejmą na nowo kroki nieprzyjacielskie na całej linii, tak samo teraz Niemcy w Sejmie czeskim postanowili przepuścić tylko budżet krajowy, przedłożenie zapomogowe i sprawę drobnych spraw ekonomicznych — zresztą zaś nie zobowiązali się do niczego i oświadczyli, że „od posiedzenia do posiedzenia“ zastanawiać się będą nad swą dalszą taktyką.

Pomimo jednak, że ta uchwała niemiecka zaopatrzona jest tyloma zastrzeżeniami, co najwidoczniej zrobiono z rozmysłem, aby tembardziej uwypuklić ją jako kopię odnośnej uchwały czeskiej i w ten sposób zadworować sobie z młodoczeskich polityków, — powszechnie uważają ją jako zapowiedź zupełnego zaprzestania obstrukcyi niemieckiej w sejmie praskim na tak długo, jak długo Czesi nie będą jej uprawiali w Radzie państwa. A zatem zaraz na samym początku sesyi sejmu czeskiego odniósł gabinet br. Gautscha sukces niepośledni, gdyż sytuacya była bardzo trudną, zwłaszcza wobec tego, że wydane ostatnimi czasy znane wyroki trybunału administracyjnego i trybunału państwowego nakazujące przyjmować i załatwiać podania czeskie, wnoszone do nawskróś niemieckich urzędów autonomicznych, jak np. do magistratu w Libercu lub do wydziału powiatowego w Chebie, tudzież uchwała rady miasta Pragi, iż na gruntach miejskich, a więc na ulicach i placach wolno ustawiać szyldy i portale sklepowe jedynie z czeskimi napisami, — wywołały w obozie niemieckim ogromne rozgoryczenie. Uchwalenie przez sejm projektu ustawy o kuryach narodowych, o którym pisałem w onegdajszym liście, popchnęłoby niewątpliwie akcyę ugodową znakomicie naprzód. Jakkolwiek bowiem projekt rządowy nie przyznaje utworzyć się mającym kuryom narodowym prawa zakładania *veto* przeciw uchwałom sejmowym, czego pragnęliby Niemcy, mimo to jednak zapewnia im raz na zawsze stałą reprezentacyę zarówno w Wydziale krajowym, jak we wszystkich komisyach i instytucyach krajowych, a zawsze skarżyli się Niemcy na to, że dzisiejsze stosunki są dla nich w wysokim stopniu upokarzające, gdyż jakkolwiek stanowią dwie piąte ludności Czech, a podatków płacą więcej niż połowę, mimo to tylko od dobrej woli większości sejmowej zależy, czy jaki Niemiec ma zasiadać w wydziale krajowym, w komisyach sejmowych i w instytucyach krajowych.

Jak donoszą z Pragi, odbyło się tam wczoraj zgromadzenie posłów młodoczeskich, na którem dr. Herold omawiał sytuacyę polityczną. Zaczął od tego, że baron Gautsch sam uznał, iż podtrzymywanie dalszego procesu rozkładowego w parlamencie byłoby ciosem zabójczym dla monarchii i dla tego uważał za swe główne zadanie podnieść potęgę tej połowy państwa, zwłaszcza wobec Węgrów. Ponieważ zaś, zdaniem dra Herolda, doświadczenie pouczyło, iż gabinet urzędniczy nie nadaje się do przeprowadzenia tak wielkich planów, przeto wyłoniła się myśl stworzenia gabinetu parlamentarnego. Gabinet taki musi mieć jednak za sobą większość w Izbie, a ani bez Czechów, ani bez Niemców większość taka nawet pomyśleć się nie da. Na razie starał się br. Gautsch uruchomić Radę państwa i Sejm czeski i udało mu się uzyskać zawieszenie broni dla pracy ekonomicznej. Bądź co bądź sytuacya polityczna — rzekł dr. Herold — obróciła się na korzyść Czechów, gdyż rząd stara się umożliwić im pozytywną pracę około spraw państwowych. Zaniechać obstrukcyi i przyczynić się do uruchomienia parlamentu nakazywał Czechom sam instynkt samozachowawczy. Co się zaś tyczy pytania, czy przedstawiciele narodu czeskiego mogą zasiąść w gabinecie, oświadczył dr. Herold, że o b e c n i e j e s t t o n i e m o ż l i w e, ale możliwe będzie w przyszłości.

Państwo — zakończył swe uwagi dr. Herold — jest wielką potęgą, zwłaszcza pod względem finansowym, nie dziw przeto, że Czesi muszą się starać o uzyskanie decydującego wpływu na administracyę państwa. Dr. Koerber nie zaszkodził nam pod względem narodowym, ale dużo szkody wyrządził nam pod względem gospodarczym i finansowym. Historya z prawem państwowem jest w teoryi bardzo ładna, ale w praktyce niezmiernie trudna; a na przykład Węgrów nie mamy się co powoływać. Madziarzy bowiem nie mieli pod tym względem prawie żadnych przeszkód do zwalczenia, podczas gdy Czesi muszą się liczyć z 2.300.000 swoich Niemców, za których plecami stoi wielkie cesarstwo niemieckie. Wiemy o tem, że do zupełnego porozumienia między Czechami a Niemcami nie przyjdzie, ale wiemy też i o tem, że mogą oni żyć obok siebie, a osiągnąć się to da przez odpowiednie zmodernizowanie krajowej ordynacyi.

Oto garść uwag politycznych dra Herolda. Jak to czasy się zmieniają. Ten sam dr. Herold jeszcze przed laty kilku całkiem inaczej przemawiał i same tylko wojownicze sygnały wydawał, dziś zaś, gdy widzi, jak zgubne owoce wydała jątrzycielska polityka jego stronnictwa, sam nawołuje do umiarkowania. Oby tylko nie było za późno.

List do Redakcyi.

(Rozmiękczenie mózgu).

Bardzo smutnem następstwem przeciążenia młodzieży teoretyczną nauką, jest, jak wiadomo, przekrwienie mózgu od natężonego myślenia i przekrwienie szpiku pacierzowego od ciągłego siedzenia. Choroby te około 33 roku życia rozwijają się w całej pełni i wywołują rozmiękczenie mózgu, dialysa. O przekrwieniu szpiku pacierzowego niepodobna mówić publicznie: dość nadmienić, że młodzież pracująca fizycznie nie doznaje owych nocnych we śnie wstrząśnień, na jakie wyłącznie umysłowo pracująca młodzież jest wystawiona. Przekrwawienie mózgu pozostawia ślady na całe życie, a znamieniem jego jest upór i zarozumiałość dochodząca do szaleństwa. Stąd to pochodzi, że młodzież szkolna staje się butną, a zaledwie ukończy młodzieniec taki szkołę i zrobi egzamin dojrzałości, już chce reformować świat cały i rej wodzić między starszymi. U cierpiących mężczyzn czy kobiet na przekrwienie mózgu, upór staje się tak straszny, że gotowi się rąbać z tym, kto się ich zdaniu sprzeciwia. Mężowie nieraz światli i rozumni na punkcie swoich przekonań stają się szalonymi, jestto tak zwana *idée fixe*.

---

30)

G. ROVETTA.

PANIENKA

(La Signorina)

Powieść

Przekład z włoskiego.

(Ciąg dalszy).

— Zbłądziłem. Zamiast się usunąć, nie pokazywać się, powinienem był pozostać na placu, narzucić się! Lecz teraz niepodobna złożyć broni. Znaczyłoby to: poddać się raz na zawsze wszystkim jej kaprysom, wszystkim dziwactwom, tyranii Fanny! Ustąpić tej kobiecie, to tyle, co wyrzec się wszystkiego! Przeciwnie trzeba się okazać silnym, energicznym, obojętnym. A wtedy ona zmięknie, ulegnie.... A może nie? To kobieta zbyt przewrotna, nadto fantastyczna, despotyczna i wyniosła! Brak jej zupełnie logiki i nigdy nie wiedzieć, czego się trzymać w postępowaniu z nią!... Udawać obojętnego?... Na co? Nie pokazuję się od trzech tygodni przeszło, czekam, a ona sobie nic z tego nie robi!... Nic zgoła!... Przysłała raz książkę, potem męża.... i na tem koniec!.... Co tam zaszło?... bo tam coś zajść musiało koniecznie!... Taka obojętność, taki chłód, byłyby niewytłumaczone, gdyby tylko nie były udane! Zresztą, jakkolwiek mi tego nie powiedziała wprost, dała mi jednak do zrozumienia, że mię kocha!... Wszak była u mnie!... przyszła do mnie!... Najbardziej zakochana kobieta, nawet taka, która straciła głowę, nie może więcej uczynić.... Obraziła się, nadąsała się!... Ale ona mię kocha.... zmięknie!...

I za każdym razem, gdy wychodził z domu i gdy wracał do domu, zaglądał niespokojny do loży odźwiernego, lecz napróżno! Nie było książki upragnionej, książki owiniętej w niebieski papier. Ilekroć dzwonek się ozwał, spodziewał się, że dostanie bilecik. I co wieczora o wpół do szóstej wysyłał Lulu z Ludwiką na spacer, sam zaś czatował we drzwiach, nasłuchując chciwie każdego szmeru, każdego kroku, wyglądał z trwogą, rozgorączkowany, wzywając Fanny prośbą i groźbą.

— Och, gdyby wróciła! Gdyby wróciła....

Dzwonek milczał uporczywie, na schodach głucha cisza. Nikt tej ciszy nie przerywał; nikt nie wchodził do domu; zresztą nikt nigdy o tej porze nie przychodził do niego. Inaczej miałby przynajmniej chwilę nadziei, szczęścia!

Gdy nadaremnie wyczekiwał przez cały tydzień, przekonał się w końcu, że Fanny uparta, że nie ustąpi w żaden sposób. Posłał do wszystkich dyabłów wszelkie rozumowania i dąsy i myślał tylko o tem, jak znaleźć sposobność, pretekst, żeby się poddać, nawet bez honorów.

— Ach, tak! Nie inaczej. Muszę z tem skończyć!

To mówiąc, rozkochany Franciszek odetchnął swobodniej i uczuł się szczęśliwym.

— Niechaj będzie, co chce!... Niechaj sobie Rabagas gada zdrów, ale ja nie mogę żyć, nie mogę istnieć bez tej kobiety!... Niechaj, co chce będzie, a jeśli nie zostanę wielkim pisarzem, ulubionym autorem ludowym, tem lepiej, mniej zgryzot i kłopotu. Fanny jest o wiele piękniejsza, o wiele milsza i ponętniejsza od sławy!

I pogwizdując aryę z Carmeny, drwił sobie z Rabagasa.

Tego samego dnia o godzinie piątej, Franciszek wybrał się z wizytą do pani De Angelis, którą Donna Stefania zazwyczaj o tej porze odwiedzała. Lecz jej tam nie zastał, a nawet pani De Angelis jego zapytała o Fanny.

— Jak się miewa Fanny?... Już jej tak dawno nie widziałam!

Nazajutrz rano Franciszek przechadzał się po ulicy Manzoniego, po ulicy św. Małgorzaty, przeszedł kilka razy przede mszą przez plac San Fedele... Kręcił się po Corsie... Nikogo nie widział. Nietylko Fanny nie było, ale ani Carletta, ani Manola!...

Rozdrażniony i zły, zaklął głucho. Jakżeby był szczęśliwy, gdyby ujrzał w tej chwili choćby z daleka „lubieżną dewotkę“, nawet w towarzystwie dwóch antypatycznych wielbicieli!

Zwątpiwszy w końcu o spotkaniu w tym dniu, począł śledzić za mężem baronowej. Czekał na niego u wyjścia z rady miejskiej, na placu Scali, w klubie. Don Juliusz również był niewidzialny. W klubie zastał nareszcie Carletta i Manola, samych, grających w écarté w ustronnym saloniku. Tym razem widok dwóch rywali zamiast go drażnić, ucieszył go.

— Nareszcie!... Teraz dopiero się dowiem, co się tam dzieje...

Faraggiola i Estensi przywitali go z niezwykłą serdecznością; ukłonili mu się obaj jednakowem skinieniem głowy, wykrzywiając usta, w których trzymali papierosy, tym samym grymasem dla okazania zadowolenia i sympatyi.

— Ach! nasz kochany Roero!
— Ach! nasz drogi Roero!
— Co za cud!
— Istny cud!

Obaj rywale zaprosili Roera, żeby zasiadł do gry razem z nimi, lecz nie wspominali ani słowa o Donnie Stefanii, ani w ogóle o domu Arcoleich. Milczenie ich wszelako nie zastanowiło, ani nie zaniepokoiło Roera ze względu na dyplomacyę i powściągliwość, cechującą obu nieskazitelnych dżentlemenów. Przeciwnie, było to dowodem, że w państwie Fanny nie nastąpił żaden przewrót. Powitano go tak uprzejmie, prawie radośnie, wskutek rozkazów z góry wydanych, celem ściągnięcia na dwór zagniewanego uciekiniera.

Franciszkowi przyjemnie czas upływał w ich towarzystwie; grał, przegrywał i rad z przegranej nucił w dalszym ciągu aryę z „Carmeny“, myśląc o Rabagasie.

Gdy tak siedział z Faraggiolą i Estensim, a raczej z Carlettem i Manolą, zdawało mu się, że siedzi obok Stefanii i oddycha jej wonią. Nareszcie odnalazł ją w otoczeniu, do którego się przyzwyczaił. Nastały dlań znowu chwile miłości i chwile zazdrości, zmartwychwstały wszystkie i stanęły mu w pamięci pogodne, rozkoszne i słoneczne. Grał, przegrywał i grał dalej wesoło. Powoli jednak przestał gwizdać i pogrążył się w zadumę.

— Jakto?... Siedzą w klubie cały dzień?... Wszak zazwyczaj jechali konno za powozem Donny Stefanii na Bastyonach *) lub towarzyszyli Don Juliuszowi na jakiem posiedzeniu, a dziś... Czyżby moja taktyka odważna i stanowcza spowodowała niełaskę Emanuela II i Karola III?

I Roero się ucieszył na tę myśl, niepomny, że sam jest Franciszkiem I. Przypatrzył się baczniej Faraggioli i Estensi'emu. Strój ich nie był wcale wizytowy, uprzejmość ich była wymuszona, a w uśmiechu przebijała gorycz.

— Biedacy są w niełasce! Teraz rozumiem, dlaczego dziś rano nie widziałem nikogo na Corso!

Przestał grać; wstał, zapłacił i oddalił się spiesznie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Aleje wzdłuż wałów miejskich, ulubione Corso powozowe w Medyolanie. (Przyp. tłum.)

Cała inteligentna klasa ludzi cierpi na zastarzałe przekrwienie mózgu, do ozego zarody wyniosła ze szkoły z powodu przeciążenia nauką. Żadne dowody nie zmienią ich przekonania, bo w ich mózgu utrwalił się szemat i szablon, od którego dla nich niemożliwością odstąpić. A przecież na świecie nie ma absolutnej prawdy, są tylko prawdy względne, stosownie do pewnych okoliczności; bezwzględną prawdą jest tylko Bóg i objawieniem prawda nam udzielona. Dotychczasowy szablon szkolny nie pozwala na żadne zmiany w szkolnictwie. Podczas obrad ankiety nad reformą szkolnictwa, „Przegląd" doradzał zaprowadzić niewinną zmianę, aby w każdej klasie gimnazyów uczono po dwie godziny obowiązkowo rysunków, coby miało ogromną doniosłość, bo prawie zrównanoby gimnazya ze szkołami realnemi. Te dwie godziny odjąć wypadało naukom języków starożytnych i ograniczyć nieco te nauki, ale w owych radzących panów nie mogło się pomieścić, jak to być może, aby uczniowie nie wiedzieli, że alous korytko, colus kądziel, vannus opałka — są rodzaju żeńskiego itp. To są skutki starzałego przekrwienia mózgu i utrwalonego szablonu. Żarliwie spierali się panowie o system szkolny Wielopolskiego, Kołłątaja, Czackiego i rozeszli się z niczem, bo ogólna jakaś rezolucya została bez skutku. Ów upór i przesąd o wartości szematów szkolnych pochodzi z lat młodocianych, a lekarstwem na owo przekrwienie mózgu jest praca ręczna, aby odciągnąć krew od mózgu i szpiku pacierzowego. Praca ręczna, oto hasło reformy szkół.

Profesor Świderski.

Akademia umiejętności.

(Mowa prezesa Stanisława Tarnowskiego).

Akademia nie może się skarżyć na rok ubiegły, owszem z radością ma prawo stwierdzić, że jej sprawy pójdują, jak siły, ale postępują i rozwijają się: stwierdza to zaś ze szczególną wdzięcznością dla tych, którym ten rozwój w znacznej części zawdzięcza. Ufność i sympatya do Akademii, nawet czynna pomoc ze strony społeczeństwa, rośnie, na radość i chlubę instytucyi, na dobry i obfity skutek z jej pracy, mam nadzieję, na pożytek społeczeństwa i nauki. Co roku każdy prezes Akademii powtarza to samo: moglibyśmy więcej robić, więcej wydawać, ale nie mamy za co. Niema w tem przesady, jest szczera prawda. Ale jeżeli nikt nigdy zapewne nie dojdzie do tak idealnego stanu, iżby miał środki na wszystko, coby chciał zrobić, to u nas jest jednak zmiana na lepsze. Wyższa subwencya kraju i państwa nie pozwala nam rozszerzyć zakresu naszych wydawnictw, ale pozwala bez troski o niedobór prowadzić dalej te, które są w toku.

Oprócz tej pomocy zaś, za którą wyrażam szczerą wdzięczność Sejmowi i rządowi, miała Akademia inne zasiłki, ze szlachetnego popędu i ofiarności ludzi. Nie mówię o fundacyach stypendyjnych: jedna z największych ś. p. Wiktora Osławskiego właśnie wejdzie w życie w roku bieżącym. Ale tego rodzaju fundacye przyjmuje Akademia, jako zaszczytny dowód zaufania, zawsze jednak jako zobowiązanie cokolwiek uciążliwe. Pomimo to chętnie bierze na siebie odpowiedzialność za dobro nie swoje, ma z zawiadowstwem i wykonywaniem zajęcia dużo: pożytku dla swoich własnych i właściwych celów nie ma. Z tem większą też wdzięcznością przyjmuje dobrodziejstwa, świadczone jej samej. Fundusze dane na cele, do jej rozporządzenia. Słyszało się zdanie porównania niekorzystne, krytyki: na Węgrzech, w Czechach, ludzie prywatni składają znaczne ofiary na rzecz swoich Akademij, a u nas nie. Zarzut nie zupełnie słuszny. Na Węgrzech i w Czechach jest ludzi bogatych nierównie więcej, jak u nas; to powód bardzo ważny. Porównanie, jeżeli je robić mamy, należy uwzględniać. Że zaś u nas te takie ludzie prywatni pamiętają o Akademii, dowodzą choćby hojne, bogate zapisy Cużydły i Czabana: tem piękniejsze, że to zapisy ludzi, którzy własną, twardą pracą dorobili się majątku.

Ale z tego powodu właśnie dawały się czasem słyszeć uwagi i wyrzuty: Oto tacy, którzy z niczego zaczęwszy, doszli do znacznego mienia, nie szczędzą na cele publiczne, na cele nauki; ale inni, tacy, którzy swoje majątki odziedziczyli, nie mają serc i rąk otwartych dla Akademii." Szczęściem jest inaczej; i mamy na to piękne dowody. Przed rokiem właśnie Feliks i Emilia hr. Sobańscy złożyli Akademii hojny dar, sto tysięcy marek. Połowę procentu od tego kapitału przez lat trzy ma pobierać gimnazyum polskie w Cieszynie; po trzech latach cały dochód przejdzie na użytek Akademii. Wypełniam konieczny, ale bardzo miły obowiązek, kiedy ten wspaniałomyślny dar podaję do wiadomości publicznej, a ludziom szlachetnego serca wyrażam dzięki, podyktowane i wdzięcznością i najszczerszem uszanowaniem. Nie jedyny to fakt hojności na cele Akademii. Oddawna odzywa się wśród uczonych różnych krajów głos, że teologiczne traktaty greckich ojców Kościoła z IV wieku zawierają wiele bardzo wielkiej wagi dla nauki, a są prawie nieznane, „skarb ukryty", bo nie wydane, lub wydane w małej tylko części. Technicznie i naukowo trudności ich wydania są tak wielkie, że niewiele jest miejsc, które mają warunki, potrzebne do tego wydawnictwa. Te warunki znalazły się u nas: nasz kolega, profesor Sternbach, jest, zdaniem filologów, człowiekiem stworzonym i wskazanym do takiego przedsięwzięcia. Ale zdolności, to jeszcze nie wszystko: potrzeba środków. Znalazły się i środki. Dr. August Cieszkowski złożył dziesięć tysięcy koron na wydawnictwo ojców greckich. Przedsięwzięcie naukowe, wartości bez przesady pierwszego rzędu, dokonane siłami naszemi, dzięki hojnej ofiarności przez Akademię. I znowu powód do gorącej wdzięczności dla dawcy, który z imieniem ojca odziedziczył jego serce gorące dla spraw nauki i dla publicznego dobra. Do dawniejszych więc zapisów i darów takich, jak śp. Andrzeja Deskura, jak pani Jankowskiej, jak fundusze „Grabia", przybywają nowe.

Miała Akademia dowody życzliwości i czynnej pomocy, nie od osób tylko, od ludzi, ale zbiorowe. Z pomysłu i inicyatywy osób naturalnie, ale z dobrej woli i ofiarności wielu. Mecenas Osuchowski, którego dobroczynna myśl i działalność ma swoje centrum w Warszawie, ale szerzej rozciąga się w wielu stron i sięga daleko, wiedział, że Akademia mogłaby robić, wydawać o wiele więcej, ale że jej środki na to nie starczą. Chciał na to zaradzić, dopomódz jej, i zawiązał stowarzyszenie ku popieraniu wydawnictw Akademii. — Oparte na rocznych wkładkach, a obliczone na znaczną liczbę członków, stowarzyszenie to — (u nas zatwierdzone przez c. k. namiestnictwo) — rozszerza się i w niedalekiej przyszłości, ufam, będzie mogło widzieć skutki swojej dobrej woli i ofiarności. Dla nas są te dowody zaufania, ta wzmagająca się życzliwość, wielkim zaszczytem, wielkiem zobowiązaniem i bodźcem do dalszej pracy i wielką radością. Żal tylko, że nasi pierwsi założyciele, nasi pierwsi przewodnicy, Majer, Szujski nie widzą tego plonu swoich zasiewów, tej budowy, która podnosi się wyżej na ich fundamentach. Oni mieli dość do zwalczenia, dużo do zniesienia: niechęci, podejrzeń, fałszywych oskarżeń. Dziś Akademia zbiera w radości to, co oni siali w żałości. Może dlatego zbiera, że starała się robić jak oni, była wierna ich zasadom i duchowi. Jest pociecha i otucha w tem, że ona doczekała się czasów względnie lepszych. Dowodzi to, że kto idzie swoją prostą drogą, wytrwale, roztropnie, równym krokiem, nie porywczym skokiem, kto się trzyma dobrego hasła *fais ce que dois*, cokolwiekby przyszło i cokolwiekby o nim mówiono, ten przecie kawałek drogi ujdzie i do celu się zbliży. To zaś nowo obudzone, z różnych warstw społeczeństwa i z różnych stron, współczucie dla Akademii, to spotkanie się różnych ludzi w przekonaniu, że wspomagać ją warto, to także mogłoby być przypomnieniem, czy przestrogą, że do celu zbliżyć się można wtedy tylko, kiedy różne siły, różne pierwiastki, dążą do niego jednym torem, zamiast rozbiegać się w różne kierunki i strony.

Nie był to dar dla Akademii, ale był znowu dowód zaufania i powagi, jaka ją otacza, że księżna Leonowa z Sanguszków Sapieżyna, złożyła u nas jako depozyt wykopaliska z kurhanów w Bilczu. Znawcy mówią, że mogą one iść w porównanie ze „Skarbem Michałkowieckiem" Włodzimierza Dzieduszyckiego, i z tym Ryżankowskim, który jest własnością Akademii. W mieście oczywiście zabytki te łatwiej mogą być zbadane i zdeterminowane, jak na wsi, a ta około nich praca już się rozpoczęła. Po jej ukończeniu nastąpi sprawozdanie i wydanie; a tymczasem na dziś jedno więcej szczere i gorące podziękowanie.

Wydawać! To nasze główne zadanie, to wydział i kształt naszej służby. Mieści ona w sobie różne poddziały i gatunki. Dla czystej nauki, dla zawodowych uczonych, należy robić co tylko można, ale choć przez to służy się ogółowi pośrednio, to trzeba i o tem pamiętać, co bezpośrednio może się przydać wszystkim. W tej myśli na walnem posiedzeniu jesiennem r. 1904, po długich namysłach i naradach, uchwaliła Akademia przedsięwziąć wydawnictwo śmiałe i trudne. „Encyklopedya Polska" ma obejmować i podawać wszystko, co dzisiejszy stan nauk wie i podać może o Polsce. Plan, już ostatecznie postanowiony, obejmuje w kilkunastu działach geografię i etnografię, historyę przed i porozbiorową, literaturę, język, przyrodoznawstwo, sztukę, stosunki ekonomiczne, obyczaj, przemysł, budownictwo ludu i t. d. Do każdego działu dobrane są najlepsze zawodowe siły, do każdego przyczyniają się uczeni z Warszawy, z Wielkopolski, z różnych stron dalszych. Komitet pod przewodnictwem JE. prof. Bobrzyńskiego rozdzielił już pracę między współpracowników i jest wszelka nadzieja, że w ciągu r. 1906 Encyklopedya zacznie już wychodzić.

Jakim kosztem? Koszt będzie bardzo wielki. Pokryje się, mamy nadzieję, z prenumeraty i ze sprzedaży, ale na razie trzeba z góry zaliczyć. Akademia zrobić tego nie może. W pomoc przyszedł jej senat uniwersytecki, który uchwalił przeznaczyć na ten cel zyski z drukarni uniwersyteckiej w kwocie dwudziestu tysięcy koron. Znowu piękny przykład, jak ciała odrębne, ale celem sobie bliskie, mogą się łączyć we wspólnem dążeniu do tego celu i pomagać sobie, wspierać się, zamiast iść każde odrębnemi, a czasem krzyżującemi się drogami.

Kiedy z żywą radością mogę się dziś chwalić tem, co Akademia doznała dobrego, nie chcę przez to powiedzieć, jakoby ona nic już więcej nie pragnęła, nie potrzebowała. Przeciwnie: i potrzeby Akademii, i nagromadzone materyały, i wreszcie jej zdolność pracy, większe są, aniżeli jej dzisiejsze środki. Z wdzięcznością tylko stwierdzam, że te środki rosną, co dowodzi, że rośnie i życzliwość dla Akademii. Prosi ona o wiarę, że rozumie, do czego ją ta życzliwość zobowiązuje: im więcej jej doznaje, tem więcej powinna i chce wywdzięczyć się społeczeństwu coraz obfitszymi owocami swojej pracy. Ma też nadzieję, że temu swemu zobowiązaniu, zadaniu i gorącemu życzeniu potrafi odpowiedzieć.

Poświęcenie nowego gmachu

biblioteki uniwersyteckiej.

Lwów, 22 maja.

W wielkiej, pięknie kwiatami przybranej pracowni nowego gmachu biblioteki uniwersyteckiej przy ul. Mochnackiego odbyła się dzisiaj przedpołudniem uroczystość poświęcenia i oddania do publicznego użytku tego nowego gmachu.

Uroczystość rozpoczęła kantata Mendelsohna, wykonana przez chór akademicki. Następnie u prowizorycznego ołtarza stanęli w szatach pontyfikalnych Arcypasterze x. x. Bilczewski i Teodorowicz w asystencyi licznego kleru i proboszcza parafii xiędza kanonika Gorazdowskiego. Po odprawieniu modłów xiądz Arcybiskup Bilczewski święconą wodą pokropił ściany sali, zaś xiądz kanonik Lenkiewicz i xiądz Gorazdowski udali się do innych sal, by dokonać ich poświęcenia. Tymczasem obecni usiedli na przeznaczonych dla nich miejscach. Naokół przygotowanej mównicy usiedli in corpore profesorowie wszystkich wydziałów naszej Wszechnicy odziani w togi, w pierwszym rzędzie ustawionych foteli pan namiestnik hr. Potocki, minister dla Galicyi dr. Piętak, marszałek kraju hr. Badeni, delegat krakowskiej Akademii Umiejętności profesor Zoll, delegat Wszechnicy Jagiellońskiej rektor Napoleon Cybulski, zaproszeni na uroczystość profesorowie lwowskiej Politechniki, delegaci Rady miasta, szef sekcyi w ministeryum oświaty dr. Ćwikliński i wielu dygnitarzy tutejszych. Na sali i na galeryach w przeważnej liczbie zasiadły panie, naokoło stanęła młodzież akademicka, widać również wielu reprezentantów świata literackiego.

Na trybunę wyszedł xiądz Arcybiskup Bilczewski i w pięknem swojem przemówieniu podniósł znaczenie czytelni i bibliotek publicznych wogóle, a przedewszystkiem znaczenie bibliotek zakładanych przy wielkich ogniskach naukowych, jakiemi są wszechnice. Gdy się dla rozwoju takiej biblioteki uczyniło dzieło wielkie, zbudowało odpowiedni dla niej a tak potrzebny gmach radują się wszyscy. A przed innymi prawo do radowania się z tego dzieła i do uczestniczenia w tej uroczystości ma Kościół katolicki. Kościół bowiem przez tyle wieków pielęgnował i krzewił naukę, staraniem Kościoła powstały pierwsze bibioteki. Przytem Kościół wogóle raduje się z każdego dzieła, które pożytek przynosi nauce, które stanowi krok naprzód na drodze dążenia do prawdy — wszak *splendore veritatis gaudet Ecclesia*, jak głoszą piękne a wiekopomne słowa Leona XIII.

Z kolei przemówił pan minister Piętak. Zapewnił zebranych o życzliwości ministeryum oświaty dla lwowskiej wszechnicy. Rozwój naszego uniwersytetu jest powolny, lecz dzieje się to tylko z przyczyn skarbowych, niepodobna bowiem, mimo największej życzliwości, w szybszem tempie sprostać wszystkim potrzebom lwowskiego uniwersytetu. A że życzliwie wszechnicę naszą traktują w Wiedniu, na to dowodem jest to, że przed laty czternastu wszystkie wydziały jej mieściły się w jednym gmachu, dziś zaś mamy już prócz gmachu głównego piękny i wielki instytut chemiczny, wielkie nowe zabudowania na pomieszczenie wydziału medycznego i najnowszy gmach biblioteki. Podnieść należy słusznie, że przy budowie gmachu dla biblioteki zadosyć uczyniono wszystkim najnowszym wymogom i, nie szczędząc kosztów, uwzględniono najnowsze urządzenia techniczne. Nakoniec oddał pan minister gmach na własność i w zarząd uniwersytetu.

Po nim przemówił szef sekcyi w ministeryum oświaty dr. Ćwikliński. Imieniem pana ministra dra Hartla, który na uroczystość osobiście przybyć nie mógł, wyraził jego radość z powodu powstania nowego gmachu i zapewnił o życzliwości jego dla interesów lwowskiej wszechnicy. Następnie w pięknem przemówieniu wskazał na niepospolite znaczenie wielkich bibliotek publicznych dla nauki i kultury. „Tu niemi mówią — tu umarli żyją!" — ten napis umieszczony na którejś ze starożytnych bibliotek rzymskich najwymowniej określa znaczenie wielkich, wszystkim dostępnych księgozbiorów.

Z kolei przemówił dyrektor biblioteki dr. Semkowicz. Książka, która jest tradycyą kultury, — dla nas, wydziedziczonych z własnego bytu politycznego, ma znaczenie większe i donioślejsze, niż dla innych narodów, dlatego tem radośniej, z większym zapałem witać powinniśmy każde dzieło, dla tej książki uczynione. Dawniej, gdy uniwersytet był skrępowany cenzurą i zatwierdzanymi przez władzę podręcznikami naukowymi, gdy był „światłem bez ciepła", zgoła inne, niż dzisiaj, uniwersytecka biblioteka miała warunki rozwoju. Dziś swobodna myśl i czysta nauka kierują jej rozwojem. Oby on był podstawą krzewienia się nauki, oby ta nauka wydała dzieła wielkie! Wszak zbyt długo i zbyt hojnie karmiono nas pustymi frazesami, a nam tak potrzeba jest czynów i to czynów poczciwych i wielkich... Ich fundamentem być może tylko nauka. Mówca dziękuje wszystkim obecnym za przybycie, obejmuje nowy gmach w zarząd i kończy trzykrotnym okrzykiem: Cesarz Franciszek Józef I niech żyje!

Okrzyk powtórzono na sali.

Następnie imieniem krakowskiej Akademii Umiejętności przemówił prof. Zoll. Wskazał on na to, że wielkie umysły, ogniem zapału dla twórczej pracy i zdolnością do niej obdarzone, w jakichkolwiek warunkach pracować będą, drogę i środki zdobyć sobie zdołają. Lecz tym rzeszom cichych, wytrwałych pracowników, których zasługą jest mrówcza, szara praca codzienna, dać należy pomoc w tej pracy i utorować im łatwe jej warunki. Oto jest zadanie wielkich bibliotek publicznych. Następny mówca rektor Napoleon Cybulski imieniem wszechnicy jagiellońskiej, z radością powitał powstanie nowego gmachu dla biblioteki naszego uniwersytetu. Myśl ludzka, która potęgą swoją objęła wszystkie dziedziny życia, znalazła dla siebie znaki, przez które się utrwala i przechowuje. Biblioteki są to właśnie zbiorowiska tych znaków, zbiorowiska przechowujące je z pokolenia do pokolenia i uprzystępniające je wszystkim.

Ostatni przemówił rektor lwowskiego uniwersytetu dr. Puzyna. Wyraził on nadzieję, że spójność obydwóch instytucyj, uniwersytetu i biblioteki, nie ucierpi w niczem przez rozdzielność ich pomieszczenia, a pod sprawiedliwem berłem naszego Monarchy rosnąć tu, mnożyć się i stąd krzewić będzie czysta nauka bez żadnych celów ubocznych.

Obecni przystąpili do składania podpisów swoich na akcie pamiątkowym otwarcia nowego gmachu. Chór akademicki rozpoczął śpiew „Stabat Mater".

Na tem zakończyła się uroczystość.

Mały feljeton.

W maju.

Noc księżycowa... Jaśń miesięczna
Czeremchy kwiat osrebrza biały
I kiście bzów całuje drżąca...

A w wonnym gąszczu słowik płacze
Miłośnie, rzewnie, przejmująco,
Głosząc swą radość i rozpacze...

A na balkonie w upojeniu
Na kochanego piersi składa
Kochanka głowę w rozmarzeniu...

Zapach czeremszyn ją upaja,
Łkanie słowicze w duszę wnika — —
O ta rozkoszna słodycz maja!...

A serce jej tak silnie bije! —
A jaśń miesięczna pieści skrząca
Jej złote włosy, piersi, szyję — —

Więc wraz ramieniem go otoczy —
I nagle ust swych żarne róże
W radosne jego wtopi oczy...

Stanisławów. *Adam Stodor.*

KRONIKA.

Lwów 22 maja.

Wiadomości kościelne. Archidyecezya lwowska obrz. łać.: Wizytacyę kanoniczną odbędzie JE. X. Arcybiskup w następujących parafiach: w Gródku 31 maja, 1 i 2 czerwca; w Rodatyczach 3 i 4 czerwca; w Białejgórze (Weissenberg) 5 czerwca; w Powitnie 6 czerwca.

Dyecezya tarnowska: Prezentę na probostwo w Ostrowach tusz. otrzymał X. Antoni Działo, wikary w Skrzyszowie.

Mianowani: X. Władysław Chendyński, kanclerz konsyst. bisk., kanonikiem honor. kapituły tarnowskiej; X. Mateusz Muchowicz z Kongregacyi XX. Filipinów, komisarzem bisk. dyecez. Służebniczek N. M. P.; X. Franciszek Górski, proboszcz w Pisarzowej, wice-dziekanem limanowskim; X. Stanisław Starzec prob. w Czarnej, wice-dziek. kolbuszowskim; X. Andrzej Niemiec prob. w Biegonicach, wice-dziek. starosandeckim; X. Wojciech Łątka prob. w Pleśnej, wice-dziekanem tuchowskim; X. Józef Jarzębiński prob. w Gumniskach, notaryuszem wielopolskim; X. Franciszek Miklasiński prob. w Łososinie, notaryuszem limanowskim; X. Ludwik Leśny z Zakonu OO. Cystersów, administratorem w Szyku; X. Jan Sowicki prob. w Wojakowej, administratorem ex curr. w Rajbrocie; X. Jan K. Duszyński prob. w Rajbrocie, przeszedł w stały stan spoczynku.

Z teatru krakowskiego. W pismach krakowskich obiegają pogłoski, że w personalu tamecznego teatru zajdą wielkie zmiany. Podobno panna Mrozowska wróci do Lwowa, a p. Rutkowska do Warszawy. Nowy dyrektor p. Solski, zaangażował — wedle owych pogłosek — pana Tarasiewicza i Siemaszkę, panią Kąsinowską, oraz kilka młodych a dobrych sił z teatru ludowego.

Sejmik relacyjny. Poseł z kuryi powszechnej, p. Moysa-Rosochacki, zdawał onegdaj w Kołomyi w sali rady miejskiej sprawę z czynności poselskich i omawiał położenie polityczne. Licznie zebrani wyborcy po obszernej dyskusyi uchwalili posłowi zaufanie i wyrazili mu podziękowanie za działalność poselską.

Losowanie posagów. Dnia 24 czerwca br. odbędzie się w kaplicy św. Zofii we Lwowie, po odprawieniu Mszy św. o godzinie 9-tej, losowanie posagów z fundacyi imienia: Jana Antoniego Łukiewicza, Karola Soboty, Elżbiety Czarkowskiej, Wincentego Łodzia Ponińskiego i Gwidona Milana, przeznaczonych dla sierót po obojgu rodzicach, które ukończyły już 8-my, a nie przekroczyły 24 roku życia.

Do losowania oprócz dziewcząt znajdujących się w Zakładzie SS. Miłosierdzia u św. Kazimierza we Lwowie, przypuszczonych będzie 10 innych dziewcząt, które przedstawi proboszcz parafii św. Mikołaja we Lwowie. — Kompetentki mają zgłosić się w tym celu u przełożonej Zakładu, względnie w urzędzie parafialnym kościoła św. Mikołaja najdalej do 20 czerwca 1905.

Półwiekowy złoty jubileusz Stowarzyszenia katolickiej młodzieży rękodzielniczej „Skała". Pół wieku upływa od chwili zawiązania we Lwowie pierwszego w kraju naszym polskiego Stowarzyszenia katolickiej młodzieży rękodzielniczej „Skała". Przedsięwzięte łącznemi siłami półwiekowe zabiegi ludzi, którzy w twardej pracy ręcznej szukają środków egzystencyi, piękne wydały owoce, a 5.000 członków Stowarzyszenia, rozbiegłszy się po kraju i daleko poza jego granice, rozniosło i krzewi wśród otoczenia miłość Boga i Ojczyzny, zamiłowanie do pracy, szlachetne zasady i poczucie tej osobistej godności i siły, która nie pozwala zbaczać z prawej drogi życiowej.

Chcąc uczcić godnie przypadający w r. 1906 półwiekowy złoty jubileusz istnienia, policzyć swe siły, zdać wobec pokrewnych pracą i duchem instytucyi i wobec całego polskiego społeczeństwa sprawę z dorobku i zdobyczy moralnych i materyalnych, przygotowuje się Stowarzyszenie gorliwie do uroczystości i wybrało w tym celu Komitet jubileuszowy złożony z licznego grona członków, kuratorów instytucyi i wybitnych osobistości grodu.

Szczegółowy program obchodu zostanie w swoim czasie podany do publicznej wiadomości, obecnie zauważamy tylko, iż jednym z punktów programu jest wydanie pamiątkowej księgi z opisem dziejów Stowarzyszenia, imienną listą członków dawnych i obecnych, tudzież z życiorysami tych osób, które, opierając się ongi o Stowarzyszenie „Skała", zajęły z biegiem czasu wybitniejsze stanowiska na polu pracy zawodowej, narodowej lub społecznej.

Ażeby o ile możności najgodniej odpowiedzieć w tym ostatnim kierunku zadaniu księgi pamiątkowej, zaprasza się niniejszem członków do nadesłania do końca sierpnia r. 1905 zwięzłych życiorysów swoich pod adresem: Dyrekcyi Stowarzyszenia „Skała" we Lwowie, ul. Mickiewicza l. 28.

O wybuchu bomby w Warszawie opowiada jeden z lokatorów sąsiedniego domu:

Siedzieliśmy w pokoju od podwórza, kiedy ogłuszył nas huk, podobny do wystrzału armatniego. Po zatrzęsieniu się lamp i mebli, po szczęku i brzęku lecących z okien frontowych szyb, zmiarkowałem odrazu, że to wybuch bomby, tembardziej, że rzucił on nas: mnie z krzesła na ziemię, siostrę na kanapę, a mego pomocnika na piec.

Kiedy, przyszedłszy do siebie po chwili oszołomienia, wychyliłem się przez okno frontowe salonu, w którem nie pozostała ani jedna szyba — ujrzałem obraz okropny.

Na chodniku, tuż u wejścia na werandę cukierni p. Trojanowskiego, wił się w okropnych widać boleściach przyzwoicie ubrany mężczyzna już bez nóg. Krew literalnie ciekła z niego strumieniem na chodnik, zlewając się na bruk uliczny. Człowiek ten, ostatnim widać wysiłkiem, uniósł się na obudwu okaleczonych rękach i łypiąc oczyma, chwytał chciwie powietrze, ale po chwili opadł na beton i w drgawkach konwulsyjnych wydał ostatnie tchnienie. Nieopodal, w rogu werandy, leżały strasznie zmiażdżone i poszarpane drugie zwłoki. A o parę stóp na prawo trzecie, nawpół owinięte w oderwaną z nad okna magazynu p. Sommera markizę płócienną. Jeden ze stolików werandowych cukierni znalazł się na dachu werandy, inny zawisł na płótnie. W około jęczało, stękało kilka powalonych przez wybuch na chodnik osób, obecnych na werandzie cukierni i przechodniów.

W domu l. 3, w którym zamieszkuję, ponieśli straty wszyscy właściciele sklepów i magazynów, wskutek stłuczenia na miazgę szyb wystawowych, luster, połamania lamp i zrujnowania wystaw. Największą jednak szkodę poniósł p. Jaszczołt, właściciel magazynu mebli, na I piętrze, dokąd siła wybuchu zaniosła kawałki poszarpanych ciał ofiar wybuchu".

Aresztowanie zuchwałego złodzieja. W Ustrzykach aresztowano 21-letniego Karola Władysława Leszczeńskiego, który dnia 16 bm. wyniósł ze stacyi kolejowej w Sanoku 75 kgr. ważącą kasę osobową, rozbił ją i zabrał z niej 612 koron gotówką, poczem kasę rzucił do Sanu i wyjechał do Ustrzyk. Leszczeńskiemu odebrano prawie wszystkie pieniądze.

Wypadek cesarzowej niemieckiej. Z Wiesbadenu donoszą, że cesarzowa niemiecka potknęła się tam wczoraj na schodach upadła i skaleczyła się w skroń. Skaleczenie nie jest poważne, jednak z powodu tego wypadku opóźni się wyjazd pary cesarskiej z Wiesbadenu o kilka dni.

Wydalanie robotników Polaków. W Poznaniu obliczają, że dotąd wydalono w tym roku 890 robotników Polaków z Górnego Szląska.

Polski wiec gospodarczo-rolniczy, zwołany do Zaleszczyk, zgromadził tam w dniu 16 maja przeszło 600 włościan z kilkudziesięciu gmin całego powiatu, oraz z sąsiednich powiatów: horodeńskiego i borszczowskiego.

Po przemówieniu przewodniczącego X. kanonika Piotrowskiego, zabrał głos p. Gruszecki z Trembowli i w podniosłych słowach skreślił pokrótce historyę naszego narodu, uwypuklając najważniejsze zdarzenia historyczne, pełne wzniosłych wzorów miłości ojczyzny, a przyszedłszy od dnia nadania konstytucyi do dni dzisiejszych, podniósł, jak mało dziś zaznaczają polscy włościanie swą miłość dla ojczyzny, gdyż zapominają o obowiązkach ku niej i toną w obojętności ku ojczystej mowie.

Po nim wygłosił młody włościanin z Dźwiniacza Łukasz Rachwalski, piękny, dziarski wiersz swego układu pod tytułem „Do ludu polskiego".

Delegat zarządu Kółek rolniczych p. Polaszyński ze Lwowa wygłosił referat o gospodarstwie rolnem i środkach zaradczych; p. Niewiadomski, sekretarz Rady powiatowej z Horodenki, mówił o włościanach rentowych; Marcin Kiełbasa, włościanin z Biłki, nawoływał zgromadzonych do jedności, zgody i pracy, a odwołując się na duchowe korzyści, pozyskane przez zwiedzenie Krakowa, zachęcał ich, by chętnie i licznie dążyli do chwał opromienionej stolicy dawnej Polski, gdzie spoczywają nasi polscy królowie, a gdy zobaczą pamiątki, stwierdzające sławę polskiego narodu, inaczej patrzeć, mówić i działać będą w swej rodzinnej wiosce. Następnie liczne głosy skarżyły się na małą liczbę polskich parafii w powiecie zaleszczyckim i błagały o obsadzenie wybudowanych od szeregu lat przy kościołach plebanij polskimi kapłanami.

Poczem uchwalono następujące rezolucye:

I. Zgromadzeni na wiecu w dniu 16 maja b. r. włościanie polscy z powiatu zaleszczyckiego postanawiają domagać się od zarządu polskiego Banku parcelacyjnego, ażeby w przyszłości przy parcelacyi gruntów uwzględniał tylko słuszne żądania polskich rolników i między nich tylko ziemię rozdzielał, ponieważ Bank parcelacyjny tylko za polskie powstał pieniądze.

II. Wiec postanawia domagać się od Sejmu, ażeby uwzględniał słuszne żądania ludu polskiego po wsiach o ludności mięszanej, by tam powstawały dla nich szkoły z polskim językiem wykładowym.

III. Wsi nad Dniestrem: Kościelniki, Zielińce, Sinków i Kołodróbka, o znacznej liczbie Polaków potrzebują osobnego xiędza z siedzibą w Sinkowie, gminy Lisowce, Uhryńkowce i Latacz, mające własne kościoły, błagają o xiędza, a wieś Beremiany o utworzenie parafii.

Odczytane rezolucye wywołały powszechny entuzyazm i długotrwałe oklaski.

Wiec zakończył się odśpiewaniem pieśni „Boże coś Polskę" i „Jeszcze Polska nie zginęła", oraz przedstawieniem sztuki „Chłopi arystokraci".

Nadmienić jeszcze musimy, że wskutek przemowy p. Marczyńskiego, który przedstawił zgromadzonym smutną dolę tych rodzin polskich, których ojcowie polegli na Dalekim Wschodzie, uczestnicy Zjazdu zebrali między sobą na wdowy i sieroty po poległych Polakach w wojnie rosyjsko-japońskiej 67 koron.

Wystawa prac konkursowych. Wczoraj otwarto w gmachu politechniki staraniem „Związku studentów architektury" wystawę prac konkursowych, na cerkiew w Sokołówce (pow. Złoczów). Na konkurs ten, ogłoszony przed kilku miesiącami przez X. Włodzimierza Kalbę, proboszcza tamtejszego, nadesłano ogółem dziewięć prac znacznej wartości. Jedną z nich, odznaczoną pierwszą nagrodą, a najlepiej odpowiadającą warunkom konkursu przez zastosowanie charakteru ruskich cerkwi drewnianych do budowli murowanej, przyjęto do wykonania. Inne prace są również bardzo zajmujące z powodu oryginalnego rozwiązania rzutu poziomego i rozwinięcia motywów cerkiewnych.

Wystawa obejmuje także trzy projekta konkursowe na fasadę teatru ruskiego we Lwowie, wykonane przez członków „Związku" a dostosowane do rozkładu podanego przez firmę Fellner i Helmer w Wiedniu i przez komitet budowy przyjętego. — Całość wystawy dopełniają prace artystyczne członków Towarzystwa, wykonane samoistnie.

„Związek studentów architektury", inicyując corocznie skromną wystawę, ma przedewszystkiem na celu pobudzić grupę młodzieży do dążenia w kierunku wyrobienia się artystycznego, a w drugim rzędzie dać jej możność okazania swych sił. Za dowód też zainteresowania się ze strony społeczeństwa jego działalnością może „Związek" poczytać ogłoszone za jego pośrednictwem dwa poważne i ze wszech miar udałe konkursa: jeden przedstawiony na zeszłorocznej wystawie na przebudowę dworu wiejskiego, obecnie drugi na cerkiew.

Rozstrzygnięcie konkursu. Redakcya *Nowości musycznych* ogłosiła w r. z. konkurs im. Konstantego ks. Lubomirskiego. Sędziowie, zaproszeni do rozstrzygnięcia tego konkursu, po przejrzeniu nadesłanych prac, w liczbie przeszło 100 utworów na fortepian, przyznali trzy nagrody po 25 rubli: za „Dumkę", „*Valse lente*" i „Mazurek b-moll".

Po otworzeniu kopert okazało się, że autorami tych utworów są pp.: Jan Michałowski z Pińska, Henryk Waghalter, artysta orkiestry teatru Wielkiego i Mieczysław Malcz z Warszawy.

Nowe karty korespondencyjne wydała swym nakładem chrześcijańska firma p. Kamila Bauma w Tarnowie (filia w Zakopanem). Karty te wykonane bardzo artystycznie, przedstawiają epizody z walk obecnych w Mandżuryi i sceny, jakie rozegrały się niedawno na ulicach Warszawy. Wydawnictwo to znajdzie — sądzić należy — uznanie w kołach amatorów pocztówek illustrowanych.

Dla artystów. „Polska sztuka stosowana" w Krakowie rozpisuje konkurs na los i afisz loteryi fantowej. Nagrody wynoszą razem 400 K. Projekta należy nadsyłać do 15 czerwca pod adresem Towarzystwa „Polska sztuka stosowana", Kraków, ul. Wolska l. 14, gdzie też i bliższych informacyj co do konkursu zasięgać można.

Fałszywa wiadomość. Jedno z pism doniosło wczoraj, że p. prezydent Małachowski ma zamiar przenieść się na stały pobyt do Wiednia i tam otworzyć kancelaryę adwokacką. Wiadomość ta — jak nam donoszą — jest zupełnie nieprawdziwą, gdyż p. Małachowski pozostaje we Lwowie i będzie tu nadal prowadził swoją kancelaryę adwokacką.

„Wziatki". Petersburski korespondent *Berl. Lokal Anzeigera* tak opisuje korrupcyę, panującą w Rosyi: Protekcya i przedajność zakorzeniła się w całym świecie, tu bardziej, tam mniej. Wszędzie spotyka się ją z pogardą, jako rak życia społecznego. Wyjątek pod tym względem stanowi tylko carat, gdzie protekcya i przedajność kwitną od lat szeregu. Zamiast, by stan ten rzeczy zmniejszał się wraz z postępem kultury, rozszerza się on coraz bardziej. Bez protekcyi i przekupstwa nie można niczego osiągnąć, a najlepszym tego dowodem jest maszyna państwowa. W Rosyi absolutnie nikt nie dziwi się temu nienormalnemu zjawisku; przeciwnie uchodzi to tu za coś zwykłego, nad czem

nikt dłużej nie myśli. Tak jest i wszyscy liczą się z tem. Charakterystyczną w tym względzie jest historyjka, jaką pewien dygnitarz opowiadał w kółku przyjaciół. Oto trzeba było obsadzić stanowisko szefa departamentu. Pewien przyjaciel opowiadającego zwrócił się z prośbą doń, by miejsce to dano jego krewnemu. „Tak kochany, lecz twój krewny nie ma o tem ani pojęcia". Rzeczywiście — brzmiała odpowiedź — lecz B. mógłby być jego pomocnikiem, ten człowiek robi przecież wszystko, tak robił pod poprzednim szefem departamentu, który tylko podpisywał, co potrafi zrobić i mój protegowany". — Setki podobnych protegowanych można z łatwością wyliczyć. — Potrafią oni tylko podpisywać, nie mając nawet ochoty zaznajomić się obowiązkami. — Godną siostrą protekcyi jest korrupcya, często występująca nawet otwarcie, bez której żadnej nie można otrzymać koncesyi. Rozpoczyna się od „dwornika", (stróża), a kończy na ministrze. Tu wszyscy są przekupni — mówi pewien wybitny Rosyanin — każdy musi zarobić.

„Winę tego — kończy korespondent — ponosi państwo, które urzędników swych niższych opłaca tak skąpo, iż nie odpowiada to żadną miarą dzisiejszym warunkom życiowym. Urzędnik, posiadający wykształcenie uniwersyteckie, czekać musi w służbie państwowej nieraz długie lata, nim otrzyma 100 rubli pensyi miesięcznej. Z tego musi nieraz utrzymać rodzinę. Nic więc dziwnego, że robi interesy, zadowalniając się małymi zyskami, gdy tymczasem wszyscy panowie stawiają wygórowane więcej żądania. Znane są owe *diners a deux* w eleganckich restauracyach, podczas których domyślny petent, gdy interesowany położy się na krótką drzemkę, powinien pod serwetą złożyć haracz. Następnie znika on na chwilę, a gdy, wróciwszy, znajdzie gościa swego w wesołym humorze przechadzającego się, może być pewnym udania się interesu, w przeciwnym zaś razie powinien powiększyć haracz".

Równocześnie podaje *Ruś* charakterystyczny epizod z tego samego zakresu. Oto we Włodawie (gubernia siedlecka) miał wybuchnąć strejk złodziei. Jedyny ten w swoim rodzaju strejk miał przebieg następujący: W dniu 23 kwietnia rozlepiono w mieście afisze, w których złodzieje uskarżają się na swą ciężką dolę, przedstawiają swe żądania i grożą, że pozbawią dochodu... policyę. Jedno z tych ogłoszeń brzmi dosłownie: „My złodzieje miasta Włodawy nie będziemy już więcej kraść, ponieważ dotychczas policya brała od nas 50 proc. dochodu, tak, że zostawało nam także 50 proc. W tym zaś roku żąda od nas 75 proc., tak, że pozostaje nam tylko 25 proc. Dlatego prosimy, jeżeli chcecie żyć z nami zgodnie, bierzcie tylko 50 prc., tak jak dawniej. W przeciwnym razie będzie źle. *Związek złodziei miasta Włodawy.* Groźby złodziei — pisze *Ruś* — widocznie poskutkowały i układy z policyą musiały być uwieńczone pomyślnym wynikiem, bo w kilka dni po rozlepieniu tych afiszów okradziono pewnego urzędnika akcyzy i odtąd „związek złodziei miasta Włodawy" ujawnia po dawnemu gorliwą działalność, a policya po dawnemu w żaden sposób nie może „wpaść na ślad" złodziei, grabiących mienie mieszkańców Włodawy.

Lekarz własnej rodziny. Pod tym tytułem ogłosił dr. P. Meisner w berlińskim *Lokal Anzeigerze* artykuł, w którym występuje energicznie przeciw temu, aby lekarz leczył osoby, należące do do jego własnej rodziny.

„Niewątpliwie odpowiedzialność lekarza jest wobec wszystkich pacyentów równa — pisze on — mimo to jednak jest to zupełnie naturalne, że lekarz, konsultowany przez członków własnej rodziny, odczuwa jeszcze intensywniej ciężar swoich obowiązków i jeszcze trwożliwiej, jeszcze ostrożniej zabiera się do dzieła. Tymczasem przesadna ostrożność szkodzi tak samo, jak normalna pomaga. I jeszcze jedno. Dzieci wobec ojca mają niewątpliwie respekt, ale nie mają go w tym stopniu, jak wobec obcego lekarza. Dzieci i żona spróbują nieraz apelować do serca ojcowskiego i bądź to utrudnią mu wykonywanie zawodu, bądź to skłonią go do ustępstw na własną szkodę. Te kompromisy, które tak często zawierają lekarze i pacyenci, jeżeli są blisko spokrewnieni, nie wydają nigdy dobrych rezultatów. Lekarz, który nie jest krewnym, ma zawsze autorytet „obcego", choćby nawet był blizko zaprzyjaźniony z pacyentem. Chorzy nie mają odwagi targować się z nim o złagodzenie przepisów lekarskich. Krótko mówiąc, stosunek lekarza do pacyenta jest wtedy o wiele zdrowszy, o wiele dla obu stron pożyteczniejszy.

I w stosunku do dalszych krewnych sytuacya mało tylko się zmienia. Aczkolwiek tutaj czynnik litości mniej waży na szali, jednak powaga lekarza jest i w tym przypadku wątpliwa. „Ach! to przecież powiedział tylko kuzynek Józio!" „Ach! tak ściśle nie potrzeba trzymać się przepisów wujaszka!" Oto jest zwykłe gadanie pacyentów. A że w takich warunkach kuracya prawidłowo przeprowadzona być nie może, to jest zupełnie naturalne. Wogóle przepisy lekarza mało mają powodzenia u jego krewnych, ale za to bardzo często biedny eskulap zbiera tylko owoce niewdzięczności gorzkiej. Oczywiście i tu należy uwzględnić okoliczności. Gdy się zdarzy jakiś przypadek, wymagający jak najszybszej pomocy lekarskiej, jakieś zranienie, otrucie lub coś w tym rodzaju, wtedy najbliższy lekarz jest najlepszy, a zatem i krewny. Tu niebezpieczeństwo groźne usuwa wszelkie skrupuły. Moje uwagi stosują się tylko do chorób rzeczywistych, do cierpień, wymagających dłuższej kuracyi, do przepisów dyetetycznych i t. p. W takich przypadkach niewątpliwie wszyscy lekarze przyznają mi słuszność.

Jest jednak inna jeszcze przyczyna, która powinnaby skłonić nas do wyrzeczenia się praktyki lekarskiej we własnej rodzinie. Lekarz spokrewniony z pacyentem jest zbyt łatwo dostępny, zbyt często proszony o poradę. Każdy krewniak, którego spotykamy, myśli sobie: „Aha, idzie kuzynek. Zaraz zapytam się go o to lub tamto". A jakie są tego następstwa? Nigdzie człowiek nie jest zabezpieczony przed „latającemi konsultacyami". Na ulicy, w teatrze, na zebraniach towarzyskich, wszędzie nas konsultują. „Ach! kochany Alfredzie, muszę się ciebie o coś poradzić", albo: „Słuchaj tylko! Marynia ma brzydką cerę. Czy nie mógłbyś jej czego zapisać?" — „Chłopcze! — woła jakiś podtatusiały wujaszek — daj mi co na łysinę. Niechże i krewni coś z twojej mądrości skorzystają!" I tak zawsze. W ciągu jednego wieczoru pyta się czasem kilkunastu krewniaków o poradę, a lekarz nie ma nawet pociechy w przekonaniu, że choćby jeden tylko z jego przepisów będzie właściwe wykonany. I nie dziw istotnie, że np. terapia dla pielęgnowania włosów, zaordynowana w foyer teatralnem między jedną odsłoną a drugą, należycie zrozumiana i stosowana przez pacyenta być nie może. Czyżby komu przyszło do głowy prosić o poradę lekarza obcego na ulicy lub w teatrze? Wątpię. A gdyby się to zdarzyło, byłoby beztaktem. Ale krewni... no, naturalnie, tacy uważają się za uprzywilejowanych.

Nasuwa się jeszcze jedno pytanie: „Czy lekarz sam siebie leczyć powinien?" I na to dać trzeba odpowiedź odmowną. Mówi się często: „Znam siebie samego najlepiej". To może być prawdą, ale nie dowodzi bynajmniej, że człowiek i swoje własne choroby zna najlepiej. Objektywność, tak ważna i niezbędna dla dyagnozy, jest przy leczeniu siebie samego wątpliwa. I wątpliwa jest także energia w wykonywaniu terapii, uznanej za właściwą.

Słowem, premisy dla samoleczenia są bardzo niekorzystne. A jednak wielu lekarzy lubi samodzielnie majstrować na własnem zdrowiu. Wypada poradzić się kolegi. A jeżeli lekarze unikają takich porad, to w części wynika z tego, że lękają się zobowiązań wobec kolegów, którym, według zwyczajów przyjętych, za poradę płacić nie wypada. Nie mamy odwagi o pierwszą lepszą drobnostkę zawracać głowy koledze. Gdybyśmy mogli mu zapłacić, nie zawahalibyśmy się może udać do niego. Przypominam, że samoleczenie się lekarzów doprowadziło już niejednokrotnie do morfinizmu i kokainizmu. A zatem nie leczmy ani siebie, ani własnych rodzin.

Samobójstwo. Wczoraj wieczorem odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru Czesław Śmiałowski, słuchacz II r. praw i praktykant rachunkowy Namiestnictwa, zamieszkały przy ul. Piekarskiej l. 35. Gdy współlokator Śmiałowskiego, słuchacz praw, Adam Piątek, wrócił o godz. 10-tej w nocy do domu, zastał drzwi zamknięte. Nie mogąc się dostać do mieszkania, otworzył drzwi zapomocą siekiery, przyczem pomagali mu dwaj jego koledzy. Gdy Piątek wszedł do pokoju, Śmiałowski był już trupem. Samobójca zostawił list do Piątka, w którym podaje przykre stosunki familijne i finansowe jako powód samobójstwa.

Temperatura dnia 19 maja o godz. 7 rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +16, we Lwowie +15, w Tarnopolu +15, w Czerniowcach +14, w Wiedniu +14, w Salcburgu +13, w Gracu +12, w Pradze +13, w Tryeście +14, w Abbazyi +13, w Raguzie +14, w Budapeszcie +15, w Berlinie +15, w Hamburgu +14, w Monachium +12, w Zurychu +10, w Genewie +14, w Lugano +13, w Anglii +10, w Paryżu +13, w Biarritz +14, w Nizzy +14, w północnych Włoszech +13, we Florencyi +13, w Rzymie +11, w Neapolu +15, w Palermo +18, w Sztokholmie +11, w Petersburgu +11, w Wilnie +15, w Warszawie +18, w Moskwie +14, w Kijowie +14, w Odesie +18, w Serajewie +12, w Belgradzie +11, w Bukareszcie +19, w Sofii +18, w Konstantynopolu +19, w Atenach +21.

Deszcze w Czechach, częściowo w Niemczech, na Węgrzech, w krajach Alpejskich i w Bośnii. Pogoda w Rosyi, w Hiszpanii, we Włoszech i częściowo we Francyi.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano + 13, w poł. + 14 R. Bar. 759. Idzie w górę. Pogoda.

Nasze sługi.

— Kasiu, dlaczego to, jak u waszych państwa jest jakaś awantura, to tylko kucharka podsłuchuje pod drzwiami?!...

Kasia (dumnie): — Bo ona mi płaci za to dwie korony na miesiąc odstępnego!...

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś: „Zabobon, czyli Krakowiacy i Górale," opera narodowa J. N. Kamińskiego, muzyka Karola Kurpińskiego. — We wtorek „Śledztwo" dramat w 2 a. z francuskiego G. Henriota. Zakończy „Epidemia," komedya w 1 a. Oktawiusza Mirbeau. — We środę „Nadzieja," dramat w 4 a. Hermana Hayermannsa; tłómaczył J. Kasprowicz. — We czwartek po raz pierwszy „Taksator" *(Der Schätzmeister)*, operetka w 3 aktach Al. Engla i Juliusza Horsta, przekład Adolfa Kitschmana, muzyka Z. M. Ziehrera.

Kronika krakowska.

W sobotę odbyło się doroczne walne zgromadzenie krajowego Towarzystwa rybackiego. Towarzystwo to wpuściło do rzek ogółem blisko 3 miliony różnego narybku. Liczy ono 377 członków. Członkami honorowymi zamianowano marszałka Stanisława hr. Badeniego i Augusta hr. Potockiego, właściciela Zatora.

Dnia 29 b. m. odbędzie się przed sądem karnym rozprawa o występek z §. 335 przeciw Mieczysławowi Kęsickiemu, nadzwyczajnemu słuchaczowi uniwersytetu Jagiellońskiego, którego rewolwerem odebrała sobie niedawno na Błoniach życie panna Rupniewska.

Literatura i sztuka.

* **Teatr.** W sobotę przedstawiono dwie nowe francuskie sztuki: dwuaktową Henriota p. t. „Śledztwo" i jednoaktową Oktawiusza Mirbeau pt. „Epidemia". Oto treść pierwszej:

W głuchą noc padł na ulicy z ręki mordercy prezydent sądu, kawaler, człowiek zamożny. Śmiertelny cios zadano mu w skroń jakimś ciężkim przedmiotem, obuszkiem, kastetem, czy ołowianą gałką przy lasce, a potem już tym samym przedmiotem bito go po ciele, pełnem sińców. Prezydent wracał do domu z wieczorku, razem z sędzią śledczym, którego pożegnał przy jego mieszkaniu, a potem szedł już sam, lecz zaledwie postąpił kilka kroków, kiedy śmierć mu zadano. Nie obrabowano go, chociaż miał przy sobie pieniądze, kosztowny zegarek, klejnoty.

Śledztwo prowadzi ten sam sędzia śledczy, który z prezydentem szedł nocą przez puste ulice. Powiedział on sobie, że oczywiście, popełniono mord nie dla rabunku, a zatem z zemsty. W biurku prezydenta znalazł poufną korespondencyę z nim zamężnej kobiety i jej fotografię. Kobieta bardzo ładna a listy jej świadczą, że męża ma gwałtownego i zazdrośnego. Przytem on już się domyśla czegoś, więc kobieta w ostatnim swym liście błaga prezydenta, aby się miał na ostrożności.

Ta korespondencya jest dla sędziego „objawieniem": prezydenta zabił mąż zazdrośny — to jasne, jak dzień. Wzywa go tedy do siebie, przesłuchuje, łapie za słowa; ów mąż wyszedł był z domu na przechadzkę sam nie wie kiedy: przed 9-tą, czy po 9-tej wieczorem — a więc się chwieje, plącze, oczywiście — zbrodniarz! Przed wyjściem z domu czytał gazetę. — I więcej nic? — pyta sędzia. — „Nic". — Kłócił się pan z żoną! — woła ostro sędzia. — Skąd to pan wie? — zapytuje mąż. — „A więc się pan kłócił! był wściekły! wybiegł z domu!" — woła sędzia, a na to mąż: — „Ależ bynajmniej! zwykła małżeńska sprzeczka!" — Kłamiesz, pan! — rzuca sędzia i w końcu zamyka męża w więzieniu śledczem. Ta sama mniej więcej scena powtarza się następnie z autorką listów do zabitego prezydenta. Znowu chwytanie za słowa, znowu opaczne tłómaczenie gniewu kobiety i jej łez. Sędzia jest przekonany, że znalazł zbrodniarza i już go ma pod kluczem. Tu akt pierwszy się kończy.

Po tej satyrze na szablonowe prowadzenie śledztwa zaczyna się akt drugi, a w nim już dramat, stopniowany zręcznie, coraz straszniejszy. Wchodzi adwokat uwięzionego męża i oznajmia sędziemu, że na własną rękę prowadził śledztwo. Sędzia w poczuciu swej zawodowej wyższości lekko szydzi z niego, lecz w ciągu jego opowiadania zaczyna się burzyć, bo spostrzega, że adwokat ma go za mordercę i to na podstawie takiego samego szablonowego rozumowania, jakiego dotąd trzymał się sędzia. Boleśnie dotknięty tą zniewagą, postanawia natychmiast skonfrontować męża z żoną. To będzie ostatnie mistrzowskie pociągnięcie: zbrodniarz się przyzna. Następnie konfrontacya; z ust żony dowiaduje się mąż, że ona go zwodziła, więc tak jest tem złamany, tak rozpacza, że ma wątpliwości: on o niczem nie wiedział, a więc nie zabijał. Któż tedy jest mordercą? Ziarno wątpliwości, zasiane przez adwokata, zaczyna kiełkować w umyśle sędziego. Sam żąda od prokuratora, aby go wziął pod śledztwo, sam pomaga je prowadzić. Wchodzi lekarz sądowy i powiada, że prezydent padł z ręki człowieka, który nagle dostał szału epileptycznego i który zgoła nie pamięta, co zrobił. Oglądają laskę sędziego; na jej ciężkiej ołowianej gałce jest wklęsłość, której wczoraj nie było. Sędzia nie wie, jak pożegnał się z prezydentem, co mu powiedział, czy podał mu rękę — nic, nic nie pamięta. Ogarnia go przerażenie, rozpacz i oto pada na ziemię w ataku epileptycznym. Lekarz mówi: „On zabił", a zasłona spada.

Prawie pełny teatr dziękował p. Chmielińskiemu długimi i bardzo gorącymi oklaskami za świetne wykonanie trudnej roli sędziego. Hucznie też oklaskiwał innych artystów: p. Adwentowicza (męża), panią Bednarzewską (żonę), p. Hierowskiego (adwokata), Antoniewicza (prokuratora), p. Wysockiego (lekarza) i p. Kliszewskiego (protokolistę), bo też istotnie wszyscy razem stworzyli świetny koncert.

Jednoaktówkę „Epidemię" nazwano na afiszu komedyą, ale to raczej satyryczny feljeton. Odbywa się posiedzenie rady miejskiej w jakiemś francuskiem mieście, w którem wybuchła epidemia zapalenia opon mózgowych. Chodzi o zarządzenie środków sanitarnych, o zburzenie zakażonych koszar, o wydatki. Co chwila wybuchają między radnymi kłótnie. Każdy z nich na zawołanie ma inne zdanie, stosownie do swego osobistego interesu. Walczą ze sobą o lepsze: niedołęztwo prezydenta, głupota i egoizm kołtunów, zabiegi inteligenta (lekarza) o popularność. Jest parę konceptów komicznych, więc publiczność się śmieje, a prezydent dzwoni i mówi do niej: „Niech galerya będzie cicho, bo każę ją opróżnić". Na takim poziomie stoi wszystko od początku do końca. Z małemi odmianami jest kilka obrazków; mogłoby ich być kilkadziesiąt, a całość niczby na tem nie straciła, ani zyskała. Jak wszystkie w naszym teatrze sceny, gdzie tłum występuje, tak i ta sztuczka grana była wybornie.

Głosy publiczności.

Na budowę rz.-kat kościoła w Nowemsiole koło Podwołoczysk złożyły następujące osoby ofiary w roku 1903 i w I półroczu 1904. I. Na listę p. Eliasza Zawadzkiego:

Eliasz Zawadzki 200 koron, Telichowski 20, Kopczyński 5, Paryłowski 5, X. Arcybiskup Weber 20, M. K. 10, W. 2, Zamorski 5, Piwocki 3, X. Moszyński 10, X. Kuryś 5, B. Kaliszewski 2, Borecki 10, Bronisław Grajewski 4, B. Kullanda 2, Swaryczowski 2, Konrad Lang 5, Wincenty Dulling 2, Tadeusz Małecki 100, Natalia Radziejowska 20, narosły procent 8. Razem 440 koron.

II. Na listę p. Antoniego Starkiewicza: Walerya Czarniakowska 100 koron, Michał Czarniakowski 100, Antoni Starkiewicz 30, D. Ostrowski 4·48, K. Balicki 15, Michał Szczyrski 1, Franciszek Podgórski 2, Franciszek Pawłowski 25·08, Laurosiewicz 8, Kajetanowicz 2·50, Michał Romanowicz 2·10, Jan Popiel 3, Stasyszyn 2, Stanisław Jakubowski 2, Włodzimierz Lichnowski 2, Michał Wojtowicz 1, Ignacy Dąbek 2, Ryszard Łyssy 2, Jan Adamiak 2, Paweł Pasierb 20, Lewitowicz 15·92, Czerniawski 1, Hanusiewicz 1, K. Błażyński 5, T. Małecki 10, H. Mikuli 1, A. Mikuli 2, Huleba 1, Kucharski 1, Wyspiański 2, Dub. 1, Jurkiewicz 1, K. Wisłocki 10, B. Scherer 1, Paweł Murzyński 1, Stefan Czerniawski 1, reszta z funduszu na nabożeństwo w rocznicę styczniową 20·60, Dominik Wiliński 1, Kotulski 1, Paluchowski 1, Kraiński 2, Szekuła 1, Kraus 1, Nowicki 1, Stadniczenko 1, Mycko 1, Józef Kaczorowski 2, Czajkowska 4, Rudolf Epler 5, narosły procent 24, Zawadzki 1, składka u państwa Zawadzkich 30, Maciej Garwoliński 4, Michał Palamar za używanie trawy z placu kościelnego 2, składka w kościele koszlackim 52 koron. Razem 535 koron 68 halerzy.

Na obie więc listy do 30 czerwca 1904 zebrano razem 975 koron 68 hal.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 20 maja.

(Z). Od jesieni roku ubiegłego bilans handlowy naszej monarchii pogarsza się stale i to niestety w tempie bardzo szybkiem. Dziś właśnie ogłoszono bilans handlu zagranicznego za kwiecień wykazujący import w sumie 179,100.000 koron, export 169,900.000 koron, a zatem passivum, czyli nadwyżkę importu nad eksport 9,200.000 koron. W porównaniu z kwietniem roku ubiegłego jest ten bilans o 19,100.000 koron gorszy, gdyż w kwietniu 1904 suma exportu była o przeszło 10 milionów koron wyższa od importu. Za cały zaś czteromiesięczny okres od 1 stycznia po koniec kwietnia br. przedstawia się bilans handlowy jak następuje: import 724,600.000, export 629,700.000 koron, zatem passivum, czyli nadwyżka importu 94,900.000 koron. Pogorszenie tedy za ten czteromiesięczny okres wynosi w porównaniu z rokiem poprzednim 118,200.000 koron, gdyż w roku ubiegłym mieliśmy nadwyżkę exportu przeszło 23 milionów koron. Przyczyną tak smutnego ułożenia się naszych stosunków handlowych jest przedewszystkiem zeszłoroczny nieurodzaj.

Pisałem był swego czasu, że z powodu wysokich ceł, ustanowionych w nowym traktacie handlowym z Niemcami, wielu fabrykantów słodu w Czechach i na Morawie zamierza zwinąć swe przedsiębiorstwa w Austryi, a założyć nowe fabryki słodu w Niemczech, gdyż w takim razie korzystać oni będą z całej tej opieki celnej, jaką nowy traktat roztacza nad fabrykacyą słodu w Niemczech. Owóż na podobne sposoby biorą się także niektórzy fabrykanci niemieccy, zagrożeni podwyższeniem ceł austryackich. I oni również zamierzają założyć w Austryi filialne fabryki swoich wyrobów, w czem nietylko nie natrafiają na żadne przeszkody, lecz przeciwnie wszystkie gminy austryackie, znajdujące się w pasie nadgranicznym, ubiegają się o to, aby w nich powstały nowe fabryki niemieckie. Przedewszystkiem powstać mają fabryki wyrobów chemicznych. Że gminy austryackie tak pragną, aby niemieckie przedsiębiorstwa przemysłowe usadowiły się w ich obrębie, to łatwo zrozumieć, przedewszystkiem bowiem skutkiem założenia fabryki zwiększą się dodatki gminne do podatków, następnie każda fabryka ze swą armią urzędników i robotników jest zarazem jednym z największych konsumentów.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Kraków. Wczoraj rozpoczął się tu targ na bydło rozpłodowe. Na otwarcie targu przybyli: prezes krakowskiego Towarzystwa rolniczego hr. Zdzisław Tarnowski i członkowie komitetu hodowlanego. Na targ dostarczono 120 sztuk doborowych okazów bydła rasy czerwonej polskiej, simenthalskiej i fryzyjskiej ze znanych obór w kraju. Tranzakcye były bardzo ożywione.

Okazy rasy nizinnej nadesłali następujący hodowcy: Dr. Witold Milieski z Piekar, zarząd dóbr Mogiła, Oskar de Rudno Rudziński z Osieka, Karol Czecz z Bierzanowa, Aleksander Dąmbski z Nosówki, Kazimierz Piliński z Tarnowca, Aleksandra Wiktorowa z Czudca, JE. Andrzej hr. Potocki z Krzeszowic, dr. Stanisław Larysz Niedzielski ze Śledziejowa, Władysław Żeleński z Grodkowic, Zdzisław hr. Tarnowski z Dzikowa.

Okazy zaś Simmenthal i Bern-Simmenthal pp.: Waleryan Stawiarski z Jedlicz, JE. Andrzej hr. Potocki z Krzeszowic, Stanisław Ostaszewski z Klimkówki, Jan Götz-Okocimski z Okocima.

Okazy rasy czerwonej polskiej pp.: dr. Jan Zduń z Raby wyżniej, Aleksandra Wiktorowa z Czudca, Mikołaj hr. Rey z Przyborowa, Stanisław Ostaszewski z Klimkówki, Józef Górkiewicz z Toporzysk.

Petersburg. Car wystosował reskrypt do w. ks. Mikołaja Mikołajewicza, w którym poleca mu utworzenie „Rady dla obrony państwa", oraz wypracowanie projektu, na którego podstawie powołanoby do życia nowe instytucye według wskazówek w. księcia. Reskrypt wyraża w końcu przekonanie, że komisya, powołana w celu wypracowania tego projektu, pracować będzie pod kierownictwem w. księcia bez zwłoki, z gotowością i wszechstronną uwagą, jakiej wymaga znaczenie tej nowej instytucyi dla państwa.

Wiedeń. Arcyks. Franciszek Ferdynand udaje się w zastępstwie Cesarza do Berlina na ślub niemieckiego następcy tronu.

Tryest. Wczoraj odbyło się w uroczysty sposób spuszczenie na wodę nowego austryackiego okrętu wojennego „Arcyksiążę Ferdynand Maksymilian", zbudowanego w warsztatach „Stabilimento tecnico". Uroczystość odbyła się pod protektoratem arcyksiężnej Maryi Józefy. Popołudniu odbyło się przyjęcie u komendanta marynarki na pokładzie okrętu flagowego eskadry austryackiej. Na to przyjęcie rozesłano 2.000 zaproszeń.

(Depesze popołudniowe).

Wiedeń. Wspólny minister finansów bar. Burian wrócił z Budapesztu.

Wiedeń. Minister Burian był dziś na prywatnej audyencyi u Cesarza i zdał sprawę ze swej misyi w Budapeszcie.

Wiedeń. Przed sądem przysięgłych, wydelegowanym przez najw. Trybunał, rozpocznie się dziś proces o zdradę stanu i obrazę majestatu przeciw czterem Tryesteńczykom z powodu znalezienia dwóch bomb w lokalu „Società gimnastica" w Tryeście.

Madryt. W Alkazarze wybuchły rozruchy głodowe. Robotnicy obrzucili kilka składów mąki kamieniami.

Moskwa. Na ogólno-rosyjskim kongresie kobiet, który trwał dwa dni, a w którym wzięło udział 500 kobiet ze wszystkich stanów, przyjęto rezolucyę domagającą się oswobodzenia politycznego Rosyi, równouprawnienia kobiet, zakończenia wojny i zaprowadzenia konstytucyi.

Petersburg. W Moskwie odbędzie się wkrótce niezwykły proces. Wdowa po zabitym pod Mukdenem oficerze wytacza jenerałowi, który dowodził owym oddziałem, proces o 40.000 rubli za śmierć jej męża i wywodzi w skardze, że jenerał zapomniał o kompanii jej męża, która znajdowała się w awangardzie, i nie dał rozkazu cofania się, skutkiem czego kompania owa została całkowicie zniesiona.

Chicago. Rokowania, mające na celu zakończenie strejku woźniców, w ostatniej chwili się rozbiły. Na ogólnem zebraniu woźniców uchwalono strejk jeszcze rozszerzyć.

Wojna.

Hongkong. Okręt „Arabia", który wczoraj tu przybył, opowiada, że słyszał strzały i widział flotę baltycką, płynącą przez kanał Passi. Okręt „Saugha" opowiada, że dnia 10 widział cztery rosyjskie okręty transportowe płynące na południe od tego kanału.

Saigon. Admirał Jonquières, który miał polecenie przeszukania całego wybrzeża annamskiego w celu stwierdzenia, czy od 14 b. m. jakiś okręt wojenny rosyjski tam powrócił, donosi, że od 14 b. m. nie było tam żadnego rosyjskiego okrętu.

HOTEL GEORGE'A.

Pokoje ze światłem i usługą od 3 K. począwszy.

Przyjechali dnia 23 maja. Ks. A. Urussow z Kijowa. Ks. W. Czartoryski z Pełkinia. J. Kiełczewski z Wiszniowa. J. Gnoiński z Cieszanowa. K. Lipiński z Kamienicy. A. Gotzl i L. Ćwikliński z Wiednia. J. Lauterbach z Drohobycza. K. Sulatycki z Haczewa. S. Moysa z Rudnik. H. Dolińska z Rzeszowa. J. Goldfinger z Zurawna. E. Rylski z Uhrynowa. Hr. M. Łoś z Czyszek. Hr. H. Konarski z Grochowic. A. Cieński z Olejowa

HOTEL FRANCUSKI

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 22 maja. L. Cieńscy z Jabłonowa. K. Kaiser z Brzeżan. O. Leczyńska z Remenowa. M. Parnas z Tarnopola. B. Kreisel z Pruchnika. A. Rakowska z Szwajcaryi. M. Graffowa z Pomorzan. M. Bogelski z Królestwa Pols. N. Winiarski z Przemyślan. N. Niewiadomski z Dembicy. A. Fuchs z Wiednia. J. Pacińska z Krakowa. A. Madejewski z Podhorodyszcza. K. Eliasz z Drohobycza. W. Rappold z Wiednia. N. Rosental z Borysławia. A. Schubert z Wiednia. A. Perlowitz z Berlina. M. Martin i B. Rosenzweig z Wiednia. H. Sawczyński z Bełza. A. Łokuciejowski z Lipska. E. Hubiccy z Komarna. J. Rongusowie z Czerniowiec. A. Schillerowie z Buska K. Hadinger z Wiednia. E. Herzig z Sanoka. W. Buszyńscy z Szczerca. A. Obertyński z Nowego Sioła. E. Karmanowicz ze Zborowa.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 22 maja. W. hr. Jabłonowski z Zagwoździa. M. br. Błażowski z Nowosiółki. A. Mysłakowski z Mogilnicy. M. Teodorowicz z Nowosielicy. Dr. Witoszyński z Niska. Prof. Zoll, prof. L. Sternbech, N. Cybulski i K. Haller z Krakowa. Z. Czaplińska z Warszawy. J. Marmorosz z Kołomyi. M. hr. Mycielski z Sarnek. Dr. S. Schätzel z Brzeżan. W. Górka z Gwoździca. S. Chłapowski z Poznania.

Wiedeń 22 maja. (Giełda towarowa). Cukier 26·85—26·95 (stale), na październik i grudzień 22·85—22·95. — Spirytus 42·60—43·00 (bez zmiany). — Nafta galicyjska bez zmiany.

Berlin 22 maja. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·10. Spirytus 00·00.

Paryż 22 maja. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 99·45. Mąka („Fleur de Paris") 31·30.

Budapeszt 22 maja. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 100 kilogramów). Pszenica na maj 18·04—18·06, na październik 16·46—16·48; żyto na maj 00·00—00·00, na październik 13·36—13·38; owies na maj 13·44—13·48, na październik 11·36—11·38; kukurudza na maj 15·56—15·58, na lipiec 14·72—14·74. — Rzepak na sierpień 23·30—23·50. — Oferty na pszenicę: mierne. — Chęć kupna: mierna. Usposobienie: spokojne. — Pogoda: pochmurno.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 22 maja.

Marki 117·38, renta majowa 100·55, węgierska renta koronowa 98·15. akcye: austr. zakł. kredyt. 669.00, węg. zakł. kred. 792.00, anglobanku 307.90, unionbanku 543·00, bankvereinu 553.75, länderbanku 456·00, kolei państw. 670·00, lombardy 89·75 akcye kolei Elbethal 447·50, fabryki broni 625·50, tytoniowe 000·—, alpiny 534·00, Rima Muranyi 562·50, prag. Tow. żel. 2699,00, losy tureckie 143·50, ruble 253·75. Usposobienie: spokojne.

Lwów 22 maja. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 584.— do 594.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 545·00 do 555.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron — 320 Banku dla handlu i przemysłu 400 k. do 360·—.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro 99.80— 100·50 Bukowińskiego fund. prop. 5 proc. 102.80 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 101.50 do 000.00 Komun. Banku kraj. 4 i pół proc. (3iej emisyi) 101.50 102.20. Komun. Banku kraj. (4ej em.) 99.80 do 100.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 99.80 do 100.00. Pożyczki kraj. z roku 1878 4½ proc, —.— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 99.30—100.60 miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 97.50 do 00.00, 4½% po 200 koron 101.10 do 101.30.

Ruch pociągów kolejowych.

ważny od 1 maja 1905 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***. 6.00, 8.50, 5.25, 9.50*,
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2.30**, 7.20, 11.55, 5.30, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.00, 11.34, 5.15, 10.02*.
Z Czerniowiec: **12.20*. 1.40**, 6.10, 5.45, 9.10*.
Z Kołomyi: 10.05.
Z Stanisławowa 8.05.
Z Rawy i Sokala 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.32.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego 7·29, 11·45, 10·50*.
Z Tuchli 3·45 (od 15/6 do 30/9).
Z Bełzca 5·00.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12.45*, 8.25, 2.50**, 4.15*, 8.35, 6.35*, 11.00*
Do Rzeszowa: 4.10.
Do Podwołoczysk z dw. głów.: **2.00**, 6.30, 10·55, 9.00*, 11.05*; z Podzamcza: **2.13**, 6.43, 11.15, 9.28*, 11.24*.
Do Czerniowiec: **2.51*, 2.40**, 6.15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.10*.
Do Rawy i Sokala: 7.30*.
Do Jaworowa: 6.55, 5.58.
Do Sambora: 9.00, 4.20, 10.55*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 5.50.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05* (od 1/5 do 30/9).
Do Ławocznego 7.30, 2.55, 6.25*,
Do Bełzca 11.10.

Pociągi lokalne.

Przychodzą do Lwowa:

Z Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 6.50, 7.50 9.5*, przedpołudniem, tylko w niedziele i rz. kat. święta, 1.46, po południu, tylko w niedzielę i rz. kat. święta 3.05, 4.16, 5.00, 7.41*, 8.55* (od 4/5 10/9 włącznie).
Z Janowa: 8.18, 1.15, (od 1/5 do 30/9) 4.32, 8.45* (od 14/5 do 10/9) 9.25* (od 14/5 do 10/9 w niedziele i święta).
Ze Szczerca: 10.10* (od 1/6 do 10/9 w niedziele i święta)
Z Lubienia W.: 11.52* (od 14/5 do 10/9 w niedz. i święta)

Odchodzą ze Lwowa:

Do Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 5.50*, 8.30, (tylko w niedziele i rz. kat. i święta); 12.30. popołudniu (tylko w niedziele i rz. kat. święta) 2.10, 3.20, 6.10; 7.30*, 7.55*.
Do Janowa: 6.55, 9.15, (od 1/5 do 30/9) 1.35 (od 14/5 do 10/9 w niedziele i rz. kat. święta), 3.08, (od 14 maja do 10 września) 5.56.
Do Szczerca: 1.55 (od 1/6 do 10/9 w niedzielę i święta)
Do Lubienia W.: 2.15 (od 14/5 do 10/9 w niedz. i święta).
Do Rawy Ruskiej 11·15* (każdej niedzieli).

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 9 wieczór do 5 min. 59 rano.

1)

Le grand roi Patacake.

Pod tym tytułem pojawiła się niedawno, napisana po francusku i niemal na wszystkie języki europejskie przetłómaczona książka, opisująca, w jaki sposób spędza wspaniały władzca Okcytanii, wielki król Patacake dnie swojego pełnego chwały panowania. Okładkę książki niemieckiego przekładu zdobi zręczna karykatura, przedstawiająca widzianą z tyłu postać w płaszczu monarszym z długim trenem; niedyskretny cień odbija na ścianie profil monarszej twarzy... z przesławnym szwedzkim wąsem, podkręconym ku górze. Okładka zaś polskiego przekładu przedstawia monarchę dumnie wspartego na mieczu, podczas gdy kilku dygnitarzy ściele się do jego stóp.

Książka ta jest satyrą często gryzącą i zjadliwą, tu i ówdzie może niesmaczną nawet, na ogół jednakże nie jest pozbawioną pewnej soli attyckiej i ma wiele ustępów błyskotliwych i naprawdę dowcipnych, mimo że zjadliwych. Książka ta ma jednak tę wadę, że jest stanowczo za długą. Tego rodzaju rzeczy muszą być pisane w ten sposób, by bez znużenia dały się przeczytać niejako jednym tchem. I tak jest napisaną pierwsza połowa „Patacakiego". Ogromna rozmaitość sytuacyi i pomysłów, połączona z błyskotliwością formy, sprawiają, że tę część książki można przeczytać z dużem zajęciem i nawet ubawić się. Lecz druga połowa książki powtarza i przerabia pomysły, wyzyskane już w części pierwszej, ma wiele ustępów za długich i mało dlatego zajmujących. Tę część czyta się już bez napiętego zainteresowania i nawet z pewnem znużeniem.

Kto jest Patacake? Po przeczytaniu pierwszych dwóch, trzech rozdziałów nie podobna nie domyśleć się, czyją karykaturą jest Patacake. Władze pruskie z właściwym sobie nietaktem, którym robiły i robią reklamy porucznikowi Bilsemu, „Tkaczom" Hauptmanna i innym, równie słabym pod względem literackim utworom, postarały się też o zareklamowanie i tej satyry, konfiskując niemiecki jej przekład. W Austryi nie spotkał taki los tej książki. Wyszła ona właśnie w przekładzie polskim p. Edmunda Biedera — i oto jej treść:

Autor przedstawia króla Patacakiego jako człowieka nieskończenie próżnego, rozlubowanego tylko w sobie i w czczych zewnętrznych pozorach i błyskotkach, choćby bardzo tanich, które tylko, zdaniem jego, przynajmniej na chwilę mogą mu przydać jakiegoś blasku. Przytem Patacake ma wszystkie przywary typu, ośmieszonego przez pisma humorystyczne małego udzielnego książątka; ministrowie i wszyscy dworacy, którzy mają bezpośrednią z nim styczność, oszukują go w naiwny, groteskowy sposób, a Patacake całe swoje otoczenie traktuje seryo, przebiera się kilkanaście razy dziennie w najrozmaitsze kostyumy i myśli tylko o tem, jakie robi na swojem otoczeniu wrażenie.

Oto jak wygląda jeden dzień z jego życia: Jego królewska mość Patacake obudził się, wstał, a po długiej modlitwie i rozmowie z nadwornym kapelanem udał się do ubieralni, gdzie już na niego oczekiwali fryzyerzy, masażyści itp. sami wysocy dygnitarze, między którymi znajdowali się „radzcy", „tajni radzcy" i „rzeczywiści tajni radzcy". I podczas gdy pięciu znakomitych uczonych opukiwało, szczypało i nacierało mu członki, jego królewska mość Patacake popadł tymczasem w milczącą zadumę nad wielkimi problemami dnia następnego.

— Co zrobić?... Czy się ukazać jako admirał belgijski, czy też w mundurze peruwiańskiego jenerała fotografom, mającym unieśmiertelnić i potomności przekazać scenę położenia kamienia węgielnego pod Panteon Okcytanii.

Gdy masażyści ukończyli swoje czynności i wycofali się w pokornych ukłonach z ubieralni, zbliżył się fryzyer, którego król Patacake zagadnął w te słowa:

— Ekscelencyo! zastanawiam się teraz nad kwestyą bardzo poważną. Ten olbrzymi tłum ludu, który, jak to sam zauważyłem, zupełnie na mój sposób podczesuje wąsy, przejmuje serce moje ciężką troską. Obawiam się, że niesprawiedliwa historya powszechna gotowa szydzić później ze mnie, gdyż cały ten motłoch, noszący wąsy na mój sposób, jest naprawdę łudząco podobny do bohaterów z operetki...

— Wasza królewska mości — odparła jego ekscelencya — przecież tym ludziom zupełnie brak wyniosłości królewskiej, więc też i...

— Trafiłeś w sedno ekscelencyo! Zupełnie słusznie! Wiesz co ekscelencyo, otwarcie muszę ci przyznać, że jesteś jednym z najbystrzejszych mężów stanu w mojem państwie, z którym można w pożyteczny sposób omówić każdą kwestyę poważną.

Ekscelencya usłyszawszy taką pochwałę, o mało nie oszalał z radości i o mało kozłów nie począł wywracać Nie uczynił jednakowoż tego, gdyż uważał za rzecz stosowniejszą złożyć pokorny ukłon, aż do ziemi.

— Ale, ale... Jakie jest twoje zdanie o wąsach à la Vercingetorix, ekscelencyo? — pytał król dalej.

— Wasza królewska mości! — zawołał fryzyer — nigdy nie ośmieliłbym się myśleć o czemkolwiek, coby się mogło niepodobać waszej królewskiej mości. Ten sposób czesania wąsów, który w Paryżu, nie wiem dlaczego, nazywają *à la Lacarelle*, ma jedną organiczną wadę, a mianowicie, że zwisają one ku dołowi, jakby były wąsami zwyciężonego. Za pośrednictwem bronzowych medali i biustów pamiątkowych zanadto się one zakorzeniły wśród ludu, a zupełne już zbanalizowanie zawdzięczają kilku urzędnikom prowincyonalnym, którzy koniecznie pragnęli mieć wygląd owych bronzowych bohaterów na pomnikach.

— Masz sąd bardzo trafny i bystro umiesz patrzeć na rzeczy ekscelencyo! Ale... ale... co myślisz o powszechnem prawie głosowania?

— Wasza królewska mości! Będę miał o niem to samo zdanie, jakie mi mieć wasza królewska mość najmiłościwiej pozwolić raczy.

— Wiem, wiem, znam nadto dobrze twój lojalny sposób myślenia ekscelencyo, a zresztą moje prawo wyborcze niezbyt jest interesującem. Ale... ale... Czy nie wiesz, co mówią o mojej nowej ustawie prasowej, przezemnie w zarysach opracowanej i jako mój pomysł, narzuconej ministrowi, który go znów ze swej strony przedłożył parlamentom?

— Wasza królewska mości! Nie stykam się wcale niestety z ludźmi, którzy trzymają palec na pulsie spraw publicznych i znam tylko z gazet ich myśli. Mam jednak to głębokie przeświadczenie, że właściwie nie ośmieliliby się oni nigdy myśleć o sprawach, których waga usuwa się z pod kompetencyi ich słabej zdolności myślenia.

— A co myśli świat o moim nowym ministrze wojny?

— Świat, w którym ja żyję, wasza królewska mości, nie pozwala sobie wcale na myślenie, bo jest to świat dobrze myślący, a prócz tego wie przecież każdy, że minister przez waszą królewską mość wybrany, bezwątpienia nie może być innym, jak chyba znakomitym ministrem.

I palce i żelazko fryzyera pieściły leciuchno i delikatnie koniuszki wąsów królewskich, wznoszących się niewzruszenie, prosto w górę.

— Wiesz co ekscelencyo — zakończył jego królewska mość rozmowę — zostanę przy tym sposobie czesania wąsów. Zawsze prosto, ostro, w górę! Te wąsy, to program i dewiza moich rządów, a ich pomysł, ekscelencyo, to twój pomysł. Muszę cię za to zamianować rzeczywistym, najwyższym, całkiem tajnym radzcą.

Po śniadaniu, spożytem w gronie rodziny udał się Patacake do swojej pracowni, aby się tam oddać sprawom państwa. Najpierw powołał przed siebie „ultra tajnego sekretarza", staruszka, którego w kołach dworskich nazywano „szmaciarzem sławy". Stawił on się przed królem z gazetą w ręku, którą sam ze szczególnym i ciężkim redagował trudem, a przedrukowywał on w niej wszystko, cokolwiek prasa całego państwa lub zagranicy ogłosiła na swych szpaltach o wielkich i sławnych czynach jego królewskiej mości.

Te wyciągi wybierano naturalnie z czysto urzędową bezstronnością. Szmaciarz miał wydany rozkaz zaznajamiania jego królewskiej mości tak z krytyką, jak i z pochwałami, tak z naganą, jak i z obroną jego postępowania. Piastował on swój urząd od lat szeregu tak pilnie i sprytnie, że mu się bajecznie udawało jego królewską mość przekonywać, że cały świat u stóp jego leży i oczy zwraca na niego z podziwem.

I usłyszał znów Patacake jeszcze o jeden raz więcej, że tysiące różnorodnych głosów uwielbiają go i uważają za wzór króla, za brylant bez skazy wśród wszystkich władców na świecie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TOMASZ KUSTROŃ

c. k. kapitan I. kl. 14. pułku piechoty, ozdobiony krzyżem kawalerskim Wielkiego księstwa Hesskiego,

zmarł po długich i ciężkich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, dnia 17. maja w Innsbruku, zkąd zwłoki do Wiednia przeniesione zostały.

W nieutulonym żalu pozostała żona, zawiadamia o tem w swojem i nieletnich dzieci imieniu, kolegów i przyjaciół zmarłego.

Redaktor odpowiedzialny. Wacław Masłowski. Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.